Nr. 52. Poznań, dnia 25-go grudnia 1903. Rok VII.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



Chwała Bogu na wysokości a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Wszystkim naszym współpracownikom, przyjaciołom i czytelnikom, wszystkim ludziom dobrej woli przesyłamy, zamiast opłatka, z serca płynące: „Szczęść Boże!“

Niechaj dłonie nasze, pod znakiem Gwiazdki w uścisku złączone, udzielają sobie ciepła miłości bratniej po wszystkie czasy i niechaj wspierają się w pracy, skierowanej ku szczęściu jednostek i dobru ogólnemu.

Wydawnictwo „Pracy“.

Do siego roku. Pełna pierś -
Życzenia mkną wyrajem!
Do siego roku! wszędzie brzmi
Praojców obyczajem!

* * *

Do siego roku! W górę skroń!
Hej gwiazdy na błękicie!
Do siego roku! kielich w dłoń!
Na nowy świt i życie!

Do siego roku! Boże szczęść!
Na nowy siew i plony!
Na dobrą myśl, na chęć, na czyn,
Miłością uskrzydlony!

* * *

Do siego roku! Pełna pierś!
Hej! świecą gwiazdy — zorze.
Do siego roku! W górę skroń!
Szczęść Boże, wam, szczęść Boże!...

K. Laskowski.



Na Boże Narodzenie.

Nadeszło znów Święto, wielkie radosne, Święto miłości Bożej i miłości ludzi między sobą. Miłości najwyższej, najczystszej wcieleniem był Ten, od Którego urodzin Święto to początek swój wzięło. Zesłał Go, Syna swego, Bóg, aby miłością odkupił ludzkość, aby zbawił ją krwawą Swą ofiarą, aby dał jej pokój Boży na ziemi. I gdy leżał w żłóbku w stajence Betlejemskiej, ozwały się chóry Aniołów i na padół łez i nędzy ludzkiej spłynęła pieśń cudowna: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“ Pieśń ta rozbrzmiewa odtąd corocznie w świętą rocznicę Jego narodzin — więc i w wilię, skoro pierwsza gwiazda zaświeci na niebie — usłyszymy anielskie jej dźwięki.

I my ją powtarzać będziemy; i my jej słowami chwalić będziemy Pana nad Panów i życzyć bliźnim wszystkim — pokoju na ziemi.

Nie ma pewnie na kuli ziemskiej narodu, któryby tak pragnął prawdziwego pokoju, któryby tak szczerze życzył go nawet wrogom swoim, jak to czyni naród polski... A niema też na świecie narodu, któremu by za tę miłość pokoju tak wrogo odpłacano uciskiem i wojną, jak to nam się dzieje....

Od stu lat przeszło, odkąd rozerwano ojczyznę naszą, ani na chwilę nie zaznaliśmy pokoju. Ileż to świąt Bożego Narodzenia przeżyliśmy wśród jadu hakatystycznego, wśród morza ucisku i łez. A i dziś chociaż niby pokój panuje na świecie, my biedni, uciskani znów żyjemy — na stopie wojennej....

Zewsząd bo wypowiedziano wojnę naszej egzystencyi narodowej. Wojna to jedyna w swoim rodzaju, nie mająca równej w dziejach ludzkości. Naród nasz, pozbawiony bytu politycznego jest przedmiotem śmiertelnych ataków dla tego, że duchowo jest żywym, że żyje swoim językiem, swoją pieśnią, swoją literaturą i sztuką, swoją kulturą. Żyje jego dusza w milionach ludu, chociaż ciało jego jest skrępowane. Więc ci, co go rozerwali i w trojakie okuli więzy, podniecani trwogą, toczą z nami wojnę nawet podczas ogólnego pokoju, godzą bez litości na naszą egzystencyę, nie dają nam ani chwili wytchnienia.

A my, broniąc się i w tej obronie piekielne znosząc męki — jeszcze odzywamy się do nich słowami Zbawiciela i życzymy im pokoju....

Niebywały to widok, straszna tragedya ludzka — a jednak — nas, którzy w niej główną odgrywamy rolę, bynajmniej nie przejmuje ona rozpaczą i trwogą.

Bo mamy przed oczami naszemi widok Tego, który za to, że pokój niósł ludzkości na krzyżu umęczon został; bo pamiętamy, że po tej męce i po śmierci Swej człowieczej zmartwychwstał i zasiadł na prawicy Bożej.... bo wiemy, że ci, którzy w myśl Jego nauki w najsroższej męce głosili pokój nawet swym oprawcom — nie zginęli lecz doczekali się wielkiego tryumfu.

Przewaga złego nad dobrem nigdy nie trwa długo. I ta złość, która dziś godzi na nasze życie, skruszy się wreszcie sama.

Więc chociaż ciężko dziś walczyć musimy — z pogodą ducha życzyć możemy innym pokoju....

* * *

Lecz Ten, Którego rocznicę narodzin jutro obchodzić będziemy — głosił ludzkości, nie tylko pokój — ale i miłość.

I ta nauka trafiła do serca narodu polskiego i pod jej tchnieniem miłował przez wszystkie wieki innych bardziej niż samego siebie. Roztaczając tę miłość nawet na wrogów swoich — zapomniał atoli miłować się we własnem łonie — równą miłością otaczać wszystkie własne dzieci. Podzielił się na warstwy, na stany — a wśród tych warstw nie było miłości. I to go zgubiło. Bo Chrystus, który miłością objął całą ludzkość, jeszcze przez usta Apostołów swoich wołał do swych wyznawców: „Dziatki moje — przedewszystkiem miłujcie się — między sobą!“

Dopóki tej miłości nie wzbudzimy w sercach naszych — nie zdołamy święcić tryumfów nad przeciwnikami naszymi, dopóty miłość nasza do innych bezowocną będzie, dopóty też nie zdołamy sami odzyskać pokoju!

Więc gdy dzisiaj w każdej chacie polskiej, w każdym domu i dworze polskim na odgłos pieśni Aniołów żywiej uderzą serca pragnieniem pokoju i zapłoną miłością bliźniego, niechże ta miłość ogarnie przedewszystkiem wszystkich synów polskiej ziemi i wspólnym obejmie ich uściskiem. Bo wtedy dopiero o przyszłość Polski spokojnie jedni kłaść się będą do grobów, a drudzy rwać się do życia — gdy i ta miłość zapanuje nad sercami naszemi.

Dobrej woli do wzniecenia w sercach naszych tej miłości dziś zaprawdę nam nie braknie. Mylnie jednak pojmuje ją część braci naszych. I oto dziś właśnie jedni zwani „starszymi“ radziby miłować „młodszych,“ — ale bez dopuszczenia ich do równych praw w narodzie.

Tymczasem Ten, który się jutro znów nam narodzi — głosił nietylko miłość, ale także braterstwo i równouprawnienie.

Niechże tedy równość i braterstwo wszystkich przestanie być u nas frazesem, liczmanem, niech wraz z miłością przejdzie w czyny, w życie, wewszelkie jego objawy. Ludu naszego nigdy na prawdę nie pozyskamy dla świętej idei narodowej, dopóki mu nie damy równej oświaty, równych praw w życiu publicznem.

Tylko tak pojmowana miłość, ta miłość wzajemna, której uczył nas Zbawiciel — zbawić nas może i wrócić nam, którym już od ciągłej wojny i ciągłych cierpień „włos bieleje“ — pokój na ziemi....

I z tem życzeniem spieszymy dziś do polskich domów i serc polskich, z opłatkiem jako symbolem miłości — i życzymy wszystkim, abyśmy doczekali się „Dosiego roku“ — z taką miłością w sercu wówczas dopiero spełnią się słowa, które dziś powtarzać będziemy:

Bóg się rodzi — moc truchleje!

Redakcya.

Podarek gwiazdkowy.

Gdybym przydybał gwiazdora z koszykiem podarków dla dziatwy, rzekłbym bez namysłu: zanieś dla dzieci polskich pod każdą strzechę elementarz.

Elementarz to broń potężna, dom polski to twierdza, poczucie narodowe to opoka. Dlatego pragnąłbym, aby gwiazdor obok cacek włożył tę broń w drobne rączki

maleństw, które mają dźwigać brzemię niewoli i ciężar wielkich obowiązków, gdy nas nie stanie, mają piastować honor narodowy i nasze święte ideały i dzierżyć sztandar polskości.

Oby te ręce były czyste, godne i silne!

Jeźli my, tak srodze doświadczani i atakowani ze wszech stron, wbrew wszystkiemu jesteśmy Polakami, jak nasi ojcowie, nie sprzeniewierzyliśmy się im, nie uronili nic z spuścizny, czyż można się obawiać, by następna generacya uległa i zatopiła nasz sztandar w morzu niemczyzny?

Nie! Wierzymy, że nie zstąpi z nami ta wielka idea, spajająca nas w jednę rodzinę; wierzymy, że na tej ziemi zroszonej krwią i potem naszym nie wygaśnie mowa nasza, nie przestanie kwitnąć polskość. Bez tej głębokiej wiary życie nasze byłoby nieznośnem, ponurem jak dzień bez słońca.

Atoli wiara bez uczynków jest martwą. Pragnąłbym więc wszczepić w umysły rodziców poczucie konieczności uczenia dzieci po polsku nietylko czytać i pisać, ale — *czuć po polsku.*

Względy najprzeróżniejszej natury wołają i powtarzają: „uczcie dzieci po polsku!“, a głos ich tak silny, że w piersi każdego Polaka musi znaleść odgłos. „Narodowość jest sercem, język jest krwią ojczystą ciało narodu opływającą“ — mówi Libelt. Niedość dać dzieciom życie, rodzice winni dać im jeszcze krew ojczystą, jeźli z dzieci tych mają wyrość ludzie w pełnem słowa znaczeniu, — obywatele, Polacy.

Dokładna znajomość języka ojczystego jest nieodzownie potrzebną dla każdego, kto chce wpośrod nas pozyskać stanowisko. A jeżeli rodzice nie dopilnują, aby dzieci od pierwszej młodości wyposażyć na drogę życia w tę potrzebną wiedzę, zamkną im przystęp do wielu stanowisk, pozbawią ich sposobu zarobkowania, narażą się na ciężki wyrzut z ich strony. Wiedza jest skarbem, torującym ludziom drogę w walce o byt, a znajomość języka macierzyńskiego podstawą wszelkiej wiedzy. W obcej mowie dziecko nie pojmie prawd wiary św., nie przejmie wiele z wykładanych nauk. A ponieważ szkoła pruska depce niezachwiane zasady pedagogiczne i wbrew naturze stara się sztucznie wtłoczyć niemczyznę w młode umysły, dom polski musi zastąpić szkołę naprawiać jej błędy, być prawdziwym zakładem naukowo-wychowawczym. Nikt nie może tłomaczyć się brakiem czasu, bo dla dzieci, ich dobra i przyszłości, rodzice muszą mieć czas, pieniądz i chęć zrobić, co w ich możności. Zarówno ze względu na materyalne jak na idealne dobro dzieci, ze względu na siebie i naród rodzice winni pełnić swój obowiązek. Jaka młodzież — taka przyszłość nasza.

Gdy mowa o przyszłej generacyi, z szczególną troską myśl nasza bieży na daleki zachód, gdzie nieprzeliczone tysiące rodaków, wygnanych z kraju przez wrogie okoliczności, poszło za chlebem. Tam nietylko szkoła, ale i kościół i wpływy uboczne oddziałują w duchu germanizacyjnym na lud i jego dzieci. Cóż stanie się z temi polskiemi dziećmi, jeźli tam rodzice lekkomyślnie zaniedbają swej powinności? Wówczas dziatwa ta będzie stracona dla nas a naród nasz uboższy o tysiące synów.

Pytamy się więc was, bracia na obczyźnie, czy przy każdem ognisku domowem u was jest elementarz? Czy wszystkie matki pomyślały o tem, aby ten skromny, dla każdego przystępny a magiczny podarek dać swym dzieciom? Czy wszystkie polskie dzieci umieją odmawiać pacierze i odczytywać modlitwy z polskiej książeczki? Czy wiedzą, że są Polakami?

Niech każdy stawi sobie te pytania, zastanowi się i wejdzie w siebie. A jeźli sumienie Wasze względem dzieci czyste, pomyślcie o dzieciach sąsiadow i braci waszych, oświecajcie ich słowem i przykładem, zagrzewajcie do wychowywania młodego pokolenia w duchu narodowym.

Bodźca do działalności w tym kierunku powinny dać towarzystwa polskie, które pod tym względem nie ujawniły dotąd należytej sprężystości. Każde ognisko polskiego życia mogłoby zdobyć się na zakupienie znaczniejszej liczby abecadeł i książeczek obrazkowych celem obdarowywania nieuświadomionych rodzin zagrożonych germanizacyą lub odsprzedawania ich opieszałym, dla których zbyt wielkim jest trudem sprowadzić sobie elementarz z kraju. Z natury rzeczy towarzystwa polskie są powołane do przewodnictwa we wszystkich sprawach narodowych i do pielęgnowania języka polskiego, powinny zatem zwrócić oczy nietylko na swych członków, lecz swą działalnością szersze obejmować koła i baczyć na wzrastające pokolenie.

Wiele stowarzyszeń, pojmując gǫdnie swe zadanie, urządza gwiazdki dla dzieci. Otóż w tym czasie świąt familijnych każde środowisko polskie winno zgromadzać liczne grona rodaków na festyny dziecięce, wyznaczać nagrody dla maleństw umiejących czy to polski wierszyk, czy pieśń i obdarzać je elementarzami i książeczkami. Ileż to przy takich festynach radości! Podjęte trudy stokrotnie nagradza uciecha dziatwy, zadowolenie rodziców, miły, rodzinny nastrój bratający ludzi.

Nietylko w czasie świąt Bożego Narodzenia, ale kilka razy do roku, przy innych okazyach towarzystwa nasze koniecznie winny przygarniać do siebie młodzież, by przeciwdziałać wpływom niemieckim i owiać je tchnieniem ojczystej atmosfery. W młodych, wrażliwych umysłach wieczór taki zapisuje się na długo, pozostawia niezatarty ślad, wywiera nieraz decydujący wpływ na całe życie.

Przesyłając Wam, Bracia na obczyźnie, serdeczne życzenia Dosiego Roku, dzieląc się z Wami w myśli opłatkiem, wołamy do Was: niezapominajcie o dzieciach polskich, uczcie je po polsku czytać, pisać i — czuć.

Quis.



Z OPŁATKIEM!

Noc Narodzenia! Z lazurów opona
Rozpięta — na niej złocistym zadatkiem
Bóg gwiazdy rozsiał, — Do ciebie — Wyśniona,
Idę z opłatkiem!

Noc to jest Pańska — cicha, uroczysta,
Człowieczą nędzę — małość i ohydę
Przyciśnie mrokiem. — Do ciebie — o Czysta
Z opłatkiem idę!

Szlakiem mej myśli — tęskność bezgraniczna,
Tajników serca — Bóg — Stróżem i Świadkiem,
Śmiało do ciebie idę — o Mistyczna
Z białym opłatkiem!

Próżności kolców zbędnym już — i pychy,
Ciszy twych progów nie zmącę szelestem;
Nad cichą duszą — duch mój stanie cichy,
Z opłatkiem jestem!

Niechże się wszystko spełni i wykona!...
Ostatni pewno raz sił mych ostatkiem
Do ciebie idę — o Błogosławiona
Z myśli opłatkiem!

A kiedy pójdę poza gwiazd miriady,
Kędy spokoju mego nic nie zmniejszy,
Czekać cię będę, jak opłatek blady,
Nad śmierć mocniejszy!...

Bożymir.





Po Kolędzie.

Ze skarbnicy zwyczajów naszych.

U nas w kraju, więcej może niż gdziekolwiek indziej, „Boże Narodzenie“ stało się świętem ludu. Rozliczne tradycyjne zwyczaje, do tych świąt przywiązane, są przeważnie tak dobrze znane, że opis ich na tem miejscu byłby zbytecznem powtarzaniem. Poprzestaniemy tedy na zanotowaniu najbardziej charakterystycznych, z których część idzie potroszę w zapomnienie, część zaś znaną jest zaledwie w niektórych okolicach.

Dawniej plebani mieli obowiązek objeżdżania dworów i chat w sam dzień wigilii w towarzystwie organisty i klechy.

Synod prowincyonalny gnieźnieński w roku 1628 polecił proboszczom, aby podczas tych objazdów napominali grzeszników, słuchali katechizmu i nieśli pociechę cierpiącym. Gdziekolwiek zjawił się pleban — tam odśpiewywał pieśni i rozdawał opłatki. Odwiedziny takie księdza proboszcza wywoływały zawsze radość wśród mieszkańców chat i dworów. Dziewczęta po jego odejściu ubiegały się o to, aby co prędzej usiąść na krześle, na którem ksiądz siedział, ta bowiem, która z nich pierwsza usiadła, miała najwcześniej z obecnych rówieśniczek wyjść za mąż w tym roku.

Z biegiem czasu objazdy te, wskutek wzrostu ludności, nie kończyły się w święta, ale trwały aż do Wielkiego postu. Przy tej sposobności parafianie składali przybywającym podarunki w naturaliach lub pieniędzach. W niektórych okolicach otrzymywali plebani kurczęta, w innych po pół głowy wieprza, wreszcie w pewnych ziemiach wsie całe składały plebanowi wspólny dar z kilkudziesięciu łokci kiełbasy.

W Prusach ofiary na kolędę stanowiły cały dochód plebanii.

Charakterystyczne zwyczaje istniały na Podlasiu. W dzień wigilii dzieci chodziły od chaty do chaty po kolędzie, śpiewając starą, rzewną piosenkę. Otrzymany podarunek rzucał dzieciak do sakwy, z okrzykiem: „Hop, kolęda!“ Zaraz po świętach parobczaki i dziewczęta zbierali się, gospodynie piekły mnóstwo placków i pierogów, tudzież gotowały mięsiwa bez liku. Tego samego wieczoru chłopaki i dziewki, poprzebierani dziwacznie, zbierali po chatach powtórną kolędę. Parobcy, okrywszy się kożuchem na wywrót, wełną do góry, udawali rozmaite zwierzęta. Dziewczęta, wszedłszy do chaty, rzucały na ogień siemię lniane. Przeszedłszy w ten sposób wieś całą, powracał cały orszak do chaty, przeznaczonej na biesiadę. Tutaj dopiero obierano jedną z dziewcząt na gospodynię, która z zebranych z kolędy podarunków gotowała ulubione potrawy; za otrzymane pieniądze kupowano wódkę i piwo. Po uczcie, przy skrzypcach tańczono i śpiewano do późnej nocy

Do odwiecznych zwyczajów należało w Polsce obchodzić z wilkiem lub turem po kolędzie. Za czasów Mikołaja Reja chodzono z wilkiem żywym, a w braku takiego, z samą tylko skórą, zkąd przysłowie: „Biega z nim, by z wilczą skórą po kolędzie.“

Z „Bożem Narodzeniem,“ jak wszędzie za granicą, łączy się ściśle tradycyjny zwyczaj składania sobie nawzajem podarunków. Dzisiaj najmniejszy w tem udział biorą dorośli; najwięcej korzystają z tego zwyczaju dzieci, które „Boże Narodzenie“ uważają za swoje uprzywilejowane święto.

Zwyczaj składania podarunków krewnym i przyjaciołom na „Boże Narodzenie“ znany był w wielu krajach już w XIII. wieku. Jeden z historyków francuzkich zapewnia jednak, że wówczas upominki takie ograniczały się zaledwie plackiem, przygotowanym wyłącznie na święta, oraz pieczoną kurą. Podarki te zanoszono przyjaciołom, śpiewając kolędy.

W Polsce w dawnych czasach upominki na „kolędę“ stanowiły stały wydatek królów i magnatów. W rachunkach Zygmunta I. znajdujemy następujące notatki z datą Bożego Narodzenia:

„Panom wikaryuszom na kolędę zł. 10.

„Trynitarzom winszującym zł. 30.

„Żakom, grającym niemiecką komedyę, grzywnę 1 gr. 24.“

Zygmunt August rozdawał zawsze nadto hojną kolędę dworzanom i służbie.

Magnaci polscy również hojnymi bywali w kolędzie, tak dla swych dworzan, jak i bliższych krewnych; dawali im nieraz wieś, to konia z rzędem, pasy lite, czapki sobolowe, zbroje, delje, kunsztowne szablice. Mniej zamożni panowie poprzestawali na posyłaniu przyjaciołom na wigilię flaszki wódki gdańskiej i pierników toruńskich. Niejednokrotnie jednak hojne kolędy przyczyniały się do zniszczenia pańskich fortun, co wnosić pozwala Chrościński, wierszopis z czasów Jana Sobieskiego, pisząc:

„Wszystko zniszczało, wszystko w jednym pędzie,
„Wziął nieprzyjaciel, jako po kolędzie.“

Kazimierz Kalinowski.



W żłobku na sianie....

I.

W żłobku na sianie
Leży kochanie,
Dziecina,
Patrzy Przeczysta
Gwiazda złocista
Na Syna.

Strzecha słomiana
Nad żłobkiem Pana
Lśni zorzą,
Osiełek z wołem
Zerkają społem
W twarz Bożą.

Jeszcze nie włada
Ludzi gromada
O cudzie;
Pracą zmęczeni,
Męką zdręczeni
Śpią ludzie.

Wżdy gwiazda złota
Już wzwyż migota
I płynie:
Niech wie świat cały
O przewspaniałej
Nowinie...

II

W szczerem polu śpią pastuchy
Stado owiec szczypie trawę,
Alić w mroku nocy głuchej
Jakieś światło lśni jaskrawe.

Wypłynęło na niebiosy,
Aż się budzą ptacy leśni,
I anielskie słychać głosy
Dziwnej, wzniosłej, świętej pieśni.

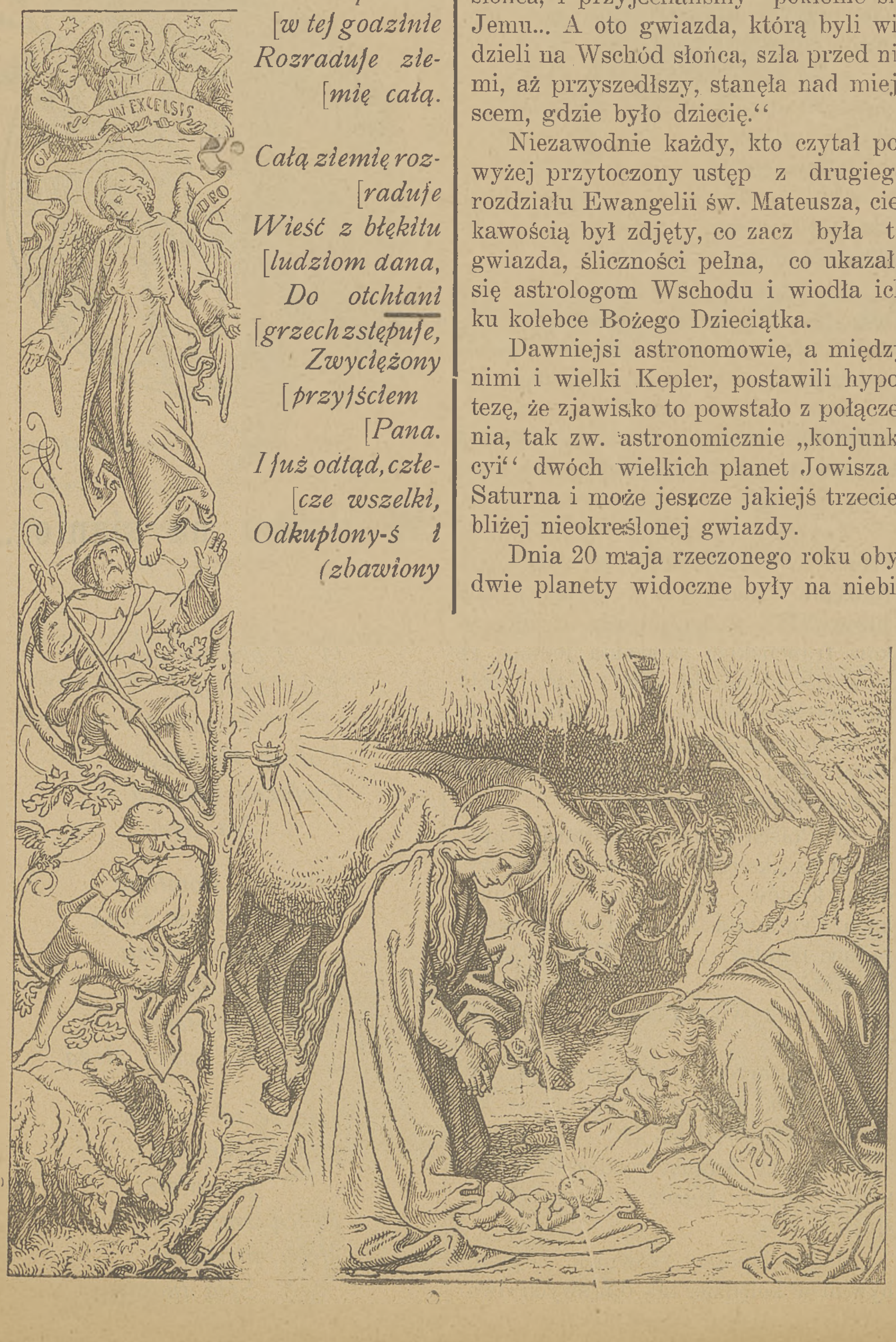
Pieśń powiada: „Oto ninie
Już się Słowo Ciałem stało
I cud spełnion
[w tej godzinie
Rozraduje zie-
[mię całą.

Całą ziemię roz-
[raduje
Wieść z błękitu
[ludziom dana,
Do otchłani
[grzech zstępuje,
Zwyciężony
[przyjściem
[Pana.
I już odtąd, czło-
[cze wszelki,
Odkupiony-ś i
(zbawiony

Przez Miłości chryzmat wielkiej
Przez Krzyż Męki okrwawiony."

Pieśń na łące i na roli
Brzmi dźwiękami uroczemi:
Pokój ludziom dobrej woli
I na niebie i na ziemi.

Or-ot.



Gwiazda Mędrców.

Gdy się tedy narodził Jezus w Bethlehem Juda, we dni Heroda króla: oto Mędrcy ze Wschodu słońca przybyli do Jerozolimy.

„Mówiąc: Gdzie jest, który się narodził Król żydowski? Albowiem widzieliśmy gwiazdę jego na Wschód słońca, i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu... A oto gwiazda, którą byli widzieli na Wschód słońca, szła przed nimi, aż przyszedłszy, stanęła nad miejscem, gdzie było dziecię.“

Niezawodnie każdy, kto czytał powyżej przytoczony ustęp z drugiego rozdziału Ewangelii św. Mateusza, ciekawością był zdjęty, co zacz była ta gwiazda, śliczności pełna, co ukazała się astrologom Wschodu i wiodła ich ku kolebce Bożego Dzieciątka.

Dawniejsi astronomowie, a między nimi i wielki Kepler, postawili hypotezę, że zjawisko to powstało z połączenia, tak zw. astronomicznie „konjunkcyi“ dwóch wielkich planet Jowisza i Saturna i może jeszcze jakiejś trzeciej bliżej nieokreślonej gwiazdy.

Dnia 20 maja rzeczonego roku obydwie planety widoczne były na niebie przed wschodem słońca, jeden od drugiego oddalony zaledwie o jeden stopień. We wrześniu obydwa zajęły położenie przeciwległe słońcu i widoczne były o północnej dobie na południowej części nieboskłonu. Od tego czasu zbliżały się znów ku sobie, a 27 października nastąpiła tak zwana „konjunkcya.“

Na podstawie pracy Erazma Reinholda, profesora uniwersytetu w Wittenberdze, w r. 1551 wydanej pod tyt. *Prutenicae tabulae coelest. motus.* odkrył Kepler, że w lutym i w marcu r. 748 po założeniu Rzymu, miała miejsce „konjunkcya“ trzech planet: Jowisza, Saturna i Marsa. Ten to nadzwyczajny wypadek, zdaniem sławnego astronoma, zwrócić musiał uwagę chaldejskich astrologów.

Z pomocą słynnych tablic, wypracowanych przez astronoma francuskiego Decambre'a, w r. 1780 odkrył Encke, że nie w r. 748, ale w r. 747 po wybudowaniu Rzymu, zdarzyły się trzy konjunkcje planet Jowisza i Saturna.

Słusznie zauważono, że jeśli rok 747 racyonalnie tu był wymieniany, a więc, jeśli Chrystus Pan urodził się na 7 lat przed dzisiejszą erą, zaprowadzoną w 527 przez opata rzymskiego Dyonizego Exiguusa, to rachunek taki zgadzałby się z następującemi słowami Ewangelii św. Mateusza, rozdz. II, 16—18: „Tedy Herodes widząc, że był omylonym od Mędrców, rozgniewał się bardzo: i posławszy pobił wszystkie dzieci, które były w Betlejem i po wszystkich granicach jego, od dwu lat i niżej, według czasu, którego się był wypytał od Mędrców.“

Herod umarł, jak wiadomo cztery lata przed naszą erą. Ponieważ zaś ze rzezi niewiniątek Zbawiciel miał już około 2 lat, a Herod żył jeszcze jakiś czas za pobytu świętej Rodziny w Egipcie, zatem i według Ewangelii św. Mateusza wypadłby rok narodzenia Chrystusa na 7 lat przed rozpoczęciem naszej ery.

Jednakowoż wytłomaczenie owego astronomicznego zjawiska, towarzyszącego Pańskim Narodzinom, zapomocą konjunkcyi planet, nie jest krytyczne, albowiem gwiazda ta szła od Wschodu na Zachód, podczas gdy konjunkcya planetarna miejsca swego na firmamencie nie zmienia. To też astronomowie, jak Cardana, Beze, Riccioli, Chladni, a ostatnimi czasy i Klinkerfues, stanowczo oświadczyli, że szło tu niezawodnie o nowe jakieś zjawisko. Musiała to być „nowa“ gwiazda. Pod „nową gwiazdą“ rozumie się, jak wiadomo, gwiazdę, która nagle ukazuje się na niebie, w stronie, gdzie dotychczas żadnej gwiazdy nie zauważono; gwiazda taka świeci coraz silniej, po-



tem doszedłszy do pewnego *maximum*, zwolna gasnąć poczyna i wreszcie znika całkowicie.

Kiedy w listopadzie 1572 roku ukazała się w konstelacyi Kassiopei wielka, nieznana poprzednio gwiazda, dla jasności swej nawet w dzień widzialna, wyraził sławny astrolog boloński, Geronimo Cardana mniemanie, że była ona identyczna z owem zjawiskiem, śledzonem przez Mędrców Wschodu, — a współczesny mu Teodor de Bere w Genewie ogłosił nawet, że ukazanie się tej gwiazdy oznacza powtórne przyjście Chrystusa na ziemię.

Z badań czeskiego astronoma Cypryana Lewicyusza (um. 1574) wynika, że również w latach 945 i 1246 na tej samej stronie nieboskłonu widoczna była jakaś nowa gwiazda, co wnioskować pozwala na okres lat 313, w którym owe tajemnicze ciało . niebieskie ku nam zbliżać się zwykło. Źródło Lewicyusza nie jest jednak bliżej nam znane, miał to być jakiś rękopis stary; gdzie się podział, czyj był — napróżno szperać.

Zresztą powinnaby była gwiazda ta powrócić w r. 1885 ,a to się nie stało. Jeżeli tedy opowiadanie Ewangelii św. Mateusza opierało się w istocie na obserwacyach astronomicznych, to niewątpliwie gwiazdą betleemską mogła być tylko kometa.

Ewangelista mówi: „A oto gwiazda, którą byli widzieli na Wschód, szła przed nimi....‟ Nic w tem niezwykłego; w starych dziełach napotykamy mnóstwo podobnych powiedzeń.

I tak wspomina Dyodor Sycylijski o komecie, która przez noc całą była widoczną i „szła przed flotą Tyleona, gdy do Sycylii płynęła.‟ Niezwykła jasność owej gwiazdy łatwo się da wytłomaczyć. Chińscy uczeni wspominają o komecie, która w noc niewidzialnemi czyniła inne gwiazdy przez jasność swoją, a noce same dniom podobne czyniła.

Za czasów Nerona w r. 60 po Chr. ukazała się kometa, która według słów Seneki, przyciemniała promienie wschodzącego słońca.

We wrześniu widziano podobną kometę w Chinach, a Chińczycy pisali o niej, że blaskiem swym światło księżyca przewyższała.

Ogromną kometę widział także rok 1402 Ogoniastą gwiazdę taką odkrył dalej w r. 1618 Longomontanus, astronom w Kopenhadze. Ogon jej długi był na 104 stopnie astronomiczne, tak, że gdy głowa zenitu sięgała, koniec jeszcze nie wyjrzał był z poza widnokręgu.

Kometa odkryta w r. 1861 w Sidney, miała rózgę o 120 stopniach austr. długości, a świeciła tak jasno, jak olbrzymia łuna blizkiego pożaru. Wreszcie w roku 1882 odkryto na południowej półkuli kometę, która według opowiadań tych, co ją widzieć mieli szczęście, największą chyba była ze wszystkich tych gwiazd ogoniastych, jakie ludzkość kiedykolwiek oglądała.

Tych dowodów dość może. Wykazują one dość jasno możliwość ukazania się niezwykłej gwiazdy w roku 7-ym przed rozpoczęciem naszej ery, gwiazdy, co według słów Wielkiego Ewangelisty wiodła Mędrca Wschodu a za nią ludzkość ku ubogiemu żłóbkowi Dziecięcia-Zbawiciela.

G. N.

Hanusina wigilia.

Na boisku, w przytykającej do chałupy stodółce o jednem zastroniu, Kuba Buczak rżnął na skrzynce sieczkę, dla krowy, żeby przez całe godne święta miała do doju jak się patrzy. Chłop rad był z siebie: przyniósł wczoraj babie zarobionych na młocce we dworze ośmnaście marek, a że cosi tam grosza było jeszcze w chałupie, więc kobiecina opędziła z tego wszystkie świąteczne wydatki, nowego zarobku nie ruszając. Robota szła mu raźnie; migiem ściął trzy snopki owsa i sięgał na zastronie po czwarty, gdy wrota się rozwarły i wsunął się mały, bosy chłopak.

— Tatusiu!

— Abo co?

— Nic...

— Pocóżeś przyszedł?

— Tak se ino zaźryć...

— Pewnikiem wedle sadku, hę?

— A juści...

— Ja tam przyjdę do izby, jak narżnę sieczki — wynoś się.

— Kiej mi ... dobrze.

— A to se ... dobrze.

Chwilę ojciec pracował spokojnie, chłopiec stał, przebierając czerwonemi nogami, wreszcie nie mogąc wytrzymać, znowu się odezwał:

— Tatusiu!

— Abo co?

— Nie zimno to wam tak ciągiem rżnąć i rżnąć?

— Nie zimno, kiej się rucham, a ty się wynoś!

— Mieliście ten sadek ubierać... tatusiu! — zaczął płaczliwie, chcąc ująć ojca za rękę.

— Nie podchodź, Franek, bo ci kosa nogę utnie! A to utrapienie z tem dzieciskami!

Odjął rękę od kosy, aby chłopca odsunąć, lecz mały Franek uczepił się jej i prosił dalej:

— Chodźcie już tatusiu, mój złociuśki, chodźcie do tego sadku...

— Dyć ci sadek nie ucieknie, jeszcze do wiliji daleko, ubierzemy go na czas...

— Chodźcie tatusiu, moiściewy, toli tak was proszę...

— A niech ta już będzie na twojem, utrapieńcze, ale se pamiętaj, że ino dzisia przy tej świętej wiliji tak ci się udało...

Zamknął wrota od stodółki, puściwszy chłopca przodem i weszli do izby.

Pod blachą huczał wesoły ogień. Gosposia nastawiła już kapustę i groch i brała się do robienia klusek, najmłodszy Jaś spał w kolebce, a trzechletnia Kasia, siedząc na ziemi, gospodarowała w ducce z ziemniakami. U pułapu wisiała choinka.

— Wiesz Magda, jak ci mnie Franek wzion ciągnąć z boiska, a zachodzić na mnie, a przygadywać, tak mnie i wyciągnął — rzekł Kuba do żony.

Młoda kobieta, boso, w krótkiej, czerwonej spódnicy i z zakasanemi rękawami, spojrzała na dziecko z błyskiem macierzyńskiej miłości i odparła, pogładziwszy go po głowie:

— Taki to już rak przyścipny, że nijakiej rady z nim niema... Adyć i ze mną tak wydziwia bez cały dzień...

Obwieszanie choinki jabłkami i orzechami, w czem pomagali ojcu z wielkim zapałem Franuś i Kasia, uwagę dzieci tak pochłonęło, że nie spostrzegły, gdy stanęła obok nich ośmioletnia Hanusia, chowająca się w sąsiedniej chałupie.

Hanusia była to taka „przez ojca.‟ Dopóki matka, służąca w mieście, płaciła za nią, Hanusia miała u Grochałów jako tako, ale od pół roku, gdy słych o matce zaginął, ile razy Grochał się upił, prał swoją babę bez miłosierdzia, że taki „głupi jenteres‟ zrobiła: dziewuchę żywią, ubierają, a grosza za to nie widzą. Niecierpliwa i oba-

czona czworgiem dzieci kobieta, z których najstarsza dziewczyna była w wieku Hanusi, nie żałowała też na nią ręki, chociaż dziecko było ciche, potulne i do wszelkiej roboty chętne. Z najbłahszej przyczyny wypędzano ją z domu. Zbita, uciekała zwykle do Buczaków, którzy ją zawsze nakarmili i przechowali, dopóki największa furya opiekunów nie minęła.

Buczak, spostrzegłszy dziewczę, zagadnął:

— Cóż, Hanuś, wygnali cię znowu?

— Nie, inom sama uciekła bez to, że gospodarz cisnęli we mnie bułem i możeby zdzielili bez łeb, bo od samuśkiego rana byli źli. Siedziałam cięgiem za chlewkiem, alem straśnie zmarzła...

— Głupia, nie mogłaś to w te pędy przylecieć haw do chałupy? Dyś zesietniała, jak niebozkie stworzenie.

— Śniadałaś? — zapytała Buczakowa.

— Kajem ta śniadała...

— Toli se przejedz, naści, a maczaj se chleb w oleju. Siednij haw wele pieca, to odtajesz...

Hanusia chwyciła ją za rękę, ucałowała, potem pobiegła do Kuby, czyniąc to samo.

— Widzisz Hanuś — rzekł Kuba — te trzy czerwone jabłuszka na samym spodku to la ciebie. Uważuj se dobrze, żeby ci ten huncwot Franek nie oberwał.

.Czarne, wypłakane oczy sieroty zaśmiały się do tego podarunku, lecz naraz spochmurniały, bo właśnie z hałasem wpadła Grochalowa.

— Pochwalony!

— Pochwalony!

— Znowuś haw Hanka? Leź duchem do dom, ulap gospodarza pod nogi i przeproś...

— Dy za co? — i dziewczę rozpłakało się w głos. — Ja się boję... ja ostanę...

— Cie ją! Ostanie! To się ostań, aż cię gospodarze wyrzucą! Kiej ci mówię idź, to idź! A to skaranie boskie z tą dziewuchą! Żeby ja bez nią tyle miała piekła w chałupie, tyle poniewierki, tyle obrazy boskiej!... Jesceś, haw, sakramencka duszo? Nic ruchasz się?

— Dajcie spokój — rzekł Buczak — nie niewolcie dziecka. Ostawcie ją, kiej się boi.

— Mądrzyście i wy! Ostawić! a juści! Wam zabawi dziecko, a do jadła to do mnie przyjdzie! Od niedzieli jakiem ino dokumetnie się dowiedziała, że ta psia wiara we żniwa tak mnie galanto wyrychtowała, że se umarła w śpitalu, a dziewuchę ostawiła mi na karku, mój cięgiem pije i pije, o nijakim zarobku nie myśli, i mnie, kieby psa ostatniego, poniewiera! A wszystko bez nią! Dobrze wam jej folgować, kiej nie o waszą skórę idzie!

— E, nie pletlibyście — obruszyła się Buczakowa — dy wasz zawdy pił, zna go cała wieś, a tego jadła to tak nie wypominajcie, bo jak dziewucha ma co pojeść, to pewnikiem nie u was! Niema dnia, żeby to głodne haw nie przyleciało i nie oblizło czego...

— Jakosi nie upasła się z tego waszego jadła!

— Żeby ino poniewierki u was nie miała, toby się może i upasła, bo dziękować Panu Jezusowi la sieroty ociupina chleba zawdy u nas się znajdzie!

— Cie! cie! A może i na przednówku tego chleba tak straśnie dużo? Nie widzieli! Co za bogactwa! Grontu dwa stajonka i krowina, pożal się Boże!...

Chłopu już było tego za wiele. Odłożył choinkę na bok, grzmotnął pięścią w stół i zakrzyknął:

— A do moich stajonek i krowiny wam zasie. Żeby dziewucha miała u was jak się patrzy, toby nie uciekała! A jakby przyszło co do czego, to haw lepszy przytułek najdzie przy tych dwóch stajonkach i przy tej krowinie, jak przy waszych czterech morgach! U mnie dzisia święta wilija; chcecie się swarzyć bez cały rok, to se piekło róbcie u siebie, a ztąd się wynoście, pókim dobry!

* * *

Był zmierzch. Kuba zaświecił w izbie lampkę i wyszedł przed chałupę spojrzeć, czy nie zeszła już gwiazdka, która miała dać hasło do rozpoczęcia wieczerzy.

Magda w czerwonym gorsecie i koszuli z wyszyciem siedziała na ławie, dając piersi Jasiowi. Stół był zasłany czystą płachtą, pod którą podłożono słomy i siana, w kątach izby stały snopy zboża, choinka z jabłkami i orzechami, przybrana łańcuchem z kolorowego papieru, wisiała u pułapu. Nad stołem kręcił się „świat“ — przedmiot wielkiego podziwu Hanusi, Franusia i Kasi.

Dzieciak na rękach matki żywe niezadowolenie okazywał z pokarmu: złościł się, popłakiwał, kopał nóżkami. I nie dziw. Magda sama była setnie głodna, aż ją chwilami mroczyło. Pościli bo też oboje od rana jak Pan Bóg przykazał. Ale lada chwila zasiędą, połamią się opłatkiem i pojedzą se za wszystkie czasy. Był przecie groch z kapustą, dwa śledzie, kluski z makiem, placek z olejem i suszone śliwki. Dziękować Panu Jezusowi wilija nie bylejaka!

— Ano stawiaj babo co Bóg dał, już nade dworem zeszła gwiazdeczka! — rzekł Kuba wesoło, wchodząc do izby.

— Tatusiu! — zawołał Franuś, czepiając się ojca — ja se kole was siędę.

— A siednij kaj chcesz, niech ta już bez cały dzień będzie na twojem! A ty Hanuś, kole Franka, hę? Cóżeś się tak zasumowała? Rozochoć się dziewucho, nie wzdychaj! Już do tamtych nie wrócisz! U nas ci zawdy było raźniej, to i będzie! Adyć tyś już kieby nasza!

— O mój gospodarzu! — chciała sierota dziękować, chwytając go za rękę.

Lecz Kuba się żachnął:

— Niema haw nijakiego gospodarza i gospodyni, ino jest ociec i matka! To se zapamiętaj przy dzisiejszej świętej wiliji!...

Edmund Zecheuter.

Wspomnienie z niewoli moskiewskiej roku 1863-go

przez **B. M.**

(Dokończenie).

Nie wiedziałem jeszcze z pewnością, czy pojadę z pierwszą partyą do Kamczatki, czy z drugą do Galicyi, i muszę się przyznać, że z niejakiem biciem serca oczekiwałem, w jaki sposób to pytanie dla mnie się rozstrzygnie. Cztery dni myśli moje błądziły między kibitką a wagonem, między Azyą i Europą! Czwartego dnia wieczorem przyszedł do nas oficer i wywołał mnie i trzech flisaków po nazwisku, poczem bardzo grzecznie oświad-



czył nam, że nazajutrz o 6-tej rano mamy być gotowi do wyjazdu. Powiedział nam dobranoc i wyszedł, nim go zapytałem, dokąd mam wyjechać? Znowu noc całą zostałem w dawniejszej niepewności, lecz ta okoliczność, że mię przyłączono do flisaków, którzy jechali do Galicyi, budziła we mnie nadzieję. Bałem się jednak ciągle, czy w tem wszystkiem nie zaszła jaka pomyłka. Skoro świt, przyszedł oficer i zabrał nas do jakiejś kancelaryi, gdzie jeszcze piątego więźnia do nas przyłączono. Dodano nam eskortę i kazano odprowadzić nas do ratusza. Idąc tam, widziałem część Warszawy, Stare Miasto, ulicę Świętojańską, Gołębią, Zamek, pałace hrabiów Potockich, hr Zamojskich i inne. Warszawa wyglądała ponuro, ruchu na ulicach nie było prawie żadnego, nieregularność ich i zły bruk niemiłe robi wrażenie. Ratusz jak wiadomo, w czasie ostatnich wypadków w wielkiej części został spalony. Oddano nas tu jakiemuś urzędnikowi, który nas kazał osadzić w więzieniu magistratualnem. Zaprowadzono nas do wielkiej sali na pierwszem piętrze. Okna jej prawie wszystkie były powybijane, ściany i podłoga brudne, a z desek tej ostatniej porobiono improwizowane prycze i stoły; o siennikach albo słomie nawet mowy nie było. Towarzystwo, któreśmy tu zastali, składało się z samych uliczników. Pytałem jednego z nich, za co siedzą i jaki wikt mają. Za same bagatele — odpowiedział mi. Ja np. szedłem wieczorem bez latarki, zobaczyłem patrol i chciałem uciekać. Przez to wpadłem w podejrzenie, złapano mnie i już trzy miesiące siedzę tu w indagacyi. Wikt mamy okropny; w pierwszy tylko dzień świąt Wielkanocnych dano nam po kawałku mięsa, zresztą karmią nas tylko jakimś cuchnącym krupnikiem, w którym nawet krup nie ma, i kawałeczkiem spleśniałego chleba dziennie. Za własne nawet pieniądze niczego kupić nie wolno, a jeżeli klucznik ukradkiem co przyniesie, to w trójnasóob każe sobie płacić. Ale nie bój się pan, pana i tego drugiego, dodał pokazując na jednego z moich towarzyszy, dadzą na drugie piętro, tam daleko lepiej.

Miał słuszność, bo w ratuszu warszawskim, jak we wszystkich więzieniach, uwzględniają poniekąd różnicę stanów. Nazajutrz rano mnie i p. C. budowniczego, przeniesiono do schludnego pokoiku na drugiem piętrze, gdzie dostaliśmy łóżka i wikt bardzo dobry. Dziewiątego dnia uwolniono mego towarzysza, a mnie na usilne prośby moje przeniesiono do innego pokoju, w którym się znajdowało kilku obywateli okolicy Warszawy i jeden dymisyonowany oficer moskiewski, Polak. Niektórzy z tych więźniów byli dopiero badani, czy są lub nie kwalifikowani do cytadeli, inni zaś uwięzieni zostali z powodu, iż nie mieli pieniędzy na zapłacenie kontrybucyi. W ich towarzystwie przepędziłem przyjemnie wieczór i wielką część nocy; rano gdy wstałem, wszedł klucznik, który mię już szukał po wszystkich kaźniach. Kazał mi się zbierać czemprędzej i iść na dół. Schodzę za nim, w tem przyskakuje do mnie oficer jakiś i łżąc mię grubiańskiem wyrazami, wyrzuca mi, że długo na mnie czekać musiał. Tłomaczę mu, że to nie stało się z mojej winy; on nie zważając na moje słowa, biegnie ku mnie z podniesioną ręką. Krew zakipiała we mnie, pokazałem mu pięść zaciśniętą. Widząc to, stanął i spuścił dłoń, ale nie przestał już kląć, póki nie odszedłem. Był to, jak się później od żołnierza dowiedziałem, Polak, nazwiskiem Psarski. Mogę powiedzieć że między Kirgizami i Kałmukami większego gbura nie widziałem.

Przyłączono mnie znowu do flisaków, moich dawnych znajomych. W towarzystwie eskorty dosyć silnej, wyszliśmy z ratusza. Na zapytanie, dokąd idziemy, odpowiedziano mi, że do kolei żelaznej.

Dusza we mnie wstąpiła na te słowa. Teraz dopiero zacząłem wierzyć na prawdę, że będę wolnym, choć ciągle jeszcze obawiałem się, żeby mię bodaj z drogi telegram jaki nie zawrócił. Nie znajdzie czytelnik nic dziwnego w tej mojej obawie, gdy zważy, jaki los spotkał moich kolegów, którzy nie więcej jak ja zawinili rządowi rosyjskiemu, przez jeden i ten sam sąd byli badani i w ten sam sposób bronili się co i ja.

Wagon, do którego nas wszystkich czterech wsadzono, pełny był sołdatów. Nie mogę pojąć, do czego się przydały te wszystkie ostrożności z ludźmi, którzy mają być puszczeni na wolność. Tymczasem nie tylko rząd moskiewski, ale i inne zachowują ciągle te nielitościwe zwyczaje policyjne, jak gdyby bezpieczeństwo ich wymagało, by radość nieszczęśliwego więźnia przy uwolnieniu nie była nigdy zupełną.

Wyjechawszy z Warszawy o pół do 10-tej rano, minęliśmy szybko Piotrków i Częstochowę. Nie mogąc odwiedzić tego ostatniego miejsca, tak świętego każdemu Polakowi, w wagonie przynajmniej zmówiłem krótką modlitwę do Najświętszej Patronki ojczyzny naszej, której opiece przypisywać mi wypada moje uwolnienie, dziś jeszcze wydające mi się [redacted]cudownem. Nakoniec konduktor [redacted]: Stacja Maczki! Byliśmy na granicy galicyjskiej. Ku wielkiemu mojemu zmartwieniu, kazano nam wysiadać z wagonów, i zaprowadzono nas na odwach, zkąd na drugi dzień ruszyliśmy piechotą do Olkusza, gdzie nas znowu osadzono w więzieniu. Łatwo sobie wystawić niecierpliwość i niespokojność naszą z tego powodu. Byliśmy już na granicy, tymczasem cofnięto nas znowu o 5 mil. Oficerowie moskiewscy tłumaczyli nam, że formalność tego wymaga, i po południu dopiero 16-go maja wszedł do nas adjutant pułkownika Ehrenrota, i oświadczył nam uroczyście, że jesteśmy wolni, ale wprzód zostaniemy oddani urzędowi cywilnemu.

Tu nowa spadła na mnie trwoga. Urzędnik, który nas miał wyprawiać do Galicyi, pyta mię o paszport. Zdziwiony odpowiadam mu, że żadnego nie miałem i nie mam. On mi na to, że w depeszy, którą wraz z przybyciem naszem otrzymał, stoi wyraźnie, jako my wszyscy czterej, za legalnemi paszportami z Galicyi do Polski przybywszy, napowrót do Galicyi odstawieni być mamy. Trzy paszporty flisaków były dołączone, mojego oczywiście nie było.

Bałem się znowu, czy mię przypadkiem zamiast kogo innego nie wypuszczono na wolność. Pomyłka podobna przy wielkiej liczbie więźniów, zapełniających wszystkie turmy w Królestwie, nie byłaby niemożliwą. Tymczasem zdaje się, że tym razem zaszła jedynie pomyłka co do mniemanego paszportu mojego, nie co do osoby. Otrzymawszy w Olkuszu przepustkę i papiery, któremi się miałem wylegitymować w Krakowie, po jedynastu miesiącach wróciłem szczęśliwie do Galicyi.

Tak więc z pomiędzy nas trzech, wywiezionych niegdyś z Kielc do Radomia, Monseu został rozstrzelany, Bornemissa poszedł w Sybir, a ja ni ztąd, ni z owąd uzyskałem możność wrócenia do domu. Dotychczas nie wiem, jakiemu szczęśliwemu trafowi mam przypisać, że zabiegi mojej matki, jakkolwiek usilne, przy tak trudnych stosunkach nie były bezskuteczne. Wiem tylko, że u niektórych wysokich dostojników moskiewskich wiele można zrobić, przemawiając do ich ludzkości, u innych można to samo osięgnąć pieniędzmi. Jedna tylko podłość i zdrada własnej sprawy nigdy i nigdzie nie popłaca. Więźniów, którzy się chcieli ratować tem, że wydawali swoich kolegów, sądy moskiewskie nie uwzględniały nigdy przy zawyrokowaniu. Tak np. szef żandarmeryi województwa Radomskiego i Kaliskiego, Bellardi, były oficer pruski, który na polu bitwy okazał się nadzwyczaj dzielnym



K. Becker.

POMOC.

żołnierzem, pojmany przez Moskali, dał się złudzić obietnicą wolności i zeznaniami swojemi skompromitował przeszło 100 osób. Póki trwało śledztwo, doznawał wielkich względów, gdy już wszystko wyspiewał, został powieszony. Drugi oficer żandarmerji narodowej, który nikogo nie wydał, skazany został na posilenie w Sybir, bo miał mnóstwo instancji za sobą. Iluż za to prostych żandarmów w czasie bytności mojej w Radomiu powieszono, ileż strasznych okrucieństw, popełnianych codziennie, możnaby przeciwstawić pojedyńczym wypadkom, dowodzącym ludzkości tego lub owego Moskala!

Na ławie szkolnej.

Nowela.*

Mały dzwonek szkolny odezwał się na pulpicie nauczyciela wioskowego, wzywając uczni do lekcyi. Chłopcy wiedzieli, że z odezwaniem się dzwonka mają ze zdwojoną uwagą słuchać rozporządzeń nauczyciela o tej porze zwykle wydawanych. Cisza nastała w sali, a mały, podsadkowaty nauczyciel, nazwiskiem Lugare, począł mówić:

— Chłopcy! Skarżono się u mnie, że jeden z was skradł tej nocy z ogrodu pana Nicholsa owoce. Zdaje mi się, że znam sprawcę... Tim Barker chodźno do mnie.

Tim stanął na środku sali. Był to piękny chłopaczek trzynastoletni, o przyjemnym, dobrodusznym wyrazie twarzy, którego zmącić nawet w tej chwili nie zdołał surowy wzrok nauczyciela i podejrzenie, przeciw niemu skierowane. Cerę miał delikatną, nie świadczącą bynajmniej o dobrem zdrowiu. Z istoty jego przebijało coś nieokreślonego, nie dającego się uświadomić, co jednak wskazywało na walkę wewnętrzną w duszy chłopaka.

Oto stał przed swoim sędzią, na tem samem miejscu, gdzie dzieci niejedno brutalne zajście widziały, niejedna niepokalana duszyczka dziecięca bywała gwałconą, niejedno przykre wrażenie w serca uczni spływało.

Zmarszczywszy czoło, co było najlepszym dowodem złego humoru, spoglądał Lugare na chłopca.

— Czyś ty wczoraj wieczorem był koło płotu ogrodu pana Nicholsa?

— Tak — odpowiedział chłopiec — byłem tam.

— No, przynajmniej i to dobre, że nie kłamiesz. Ty myślisz z pewnością, że wolno ci kraść, gdzie ci się podoba i że zdołasz wykpić się od kary; no jak?

— Nie kradłem — odrzekł chłopak stanowczo, a twarz jego poczerwieniała, może z obawy, a może ze strachu.

— Bezczelny smyku! — krzyknął nauczyciel i chwycił długą rózgę. — Nie odpowiadaj tak bezczelnie, radzę ci, bo wygarbuję ci skórę, że zaskowy-

*) Obok Edgara Poe i Emersona, Whitman jest najtęższym i najwybitniejszym poetą i myślicielem amerykańskim. Tak samo jak Kipling, tchnie bezgraniczną dumą i pewnością siebie, właściwą wogóle twórcom artystycznym Anglii i Ameryki, zdobywców świata. Ztąd to pochodzi nadzwyczaj rozprzestrzeniony subjektywizm Whitmana, który w późniejszych latach doszedł niemal do uwielbienia [illegible] potęgi. „Jestem streszczeniem min[illegible]chwil, a mieszczę w sobie zapowiedź przyszłości.“ Taką dumą jest przejęta dusza poety.

Whitman pracował głównie na tle społecznem, w swych wierszach omawiał zagadnienia aktualne, nadawał im tylko wysoce artystyczną formę.

czesz jak pies!... Gadajże prędzej! — krzyknął głośniej, a oznaki jego gniewu wystąpiły tem silniej na twarzy — coś robił obok ogrodu, co? Z pewnością zbierałeś owoce, które ci zacni towarzysze przez płot przerzucali? Niebezpieczną robotę poruczyłeś innym drabom!

— Przechodziłem obok ogrodu, bo tędy prowadzi droga do domu. Wczoraj szedłem tamtędy nieco później, by się spotkać z jednym znajomym i... i... Ale nie byłem w ogrodzie i nic nie nosiłem. Nie kradłbym nigdy, choćbym z głodu miał umrzeć.

— Tak? bo wczoraj inaczej myślałeś. Około dziewiątej widziano cię obok ogrodu pana Nicholsa z pełnym worem na plecach. Cóżbyś tam nosił, jeśli nie owoce?

Twarz chłopca poczerwieniała, lecz ani jedno słowo nie wydobyło się z jego ust. Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło.

— Odpowiedz! — krzyknął Lugare i uderzył trzcinką o pulpit.

Chłopak był blizkim omdlenia. Lecz nielitościwy sędzia, będąc pewny, że ma przed sobą co najmniej zbrodniarza, już w myśli radował się przykładną karą, którą mu chciał wymierzyć.

Naprzeciw niego stał Tim Barker z wybałuszonemi oczyma. Język przylgnął mu do podniebienia; ani słówkiem się nie odezwał. Może strach go tak otumanił, a może rzeczywiście czuł się niezdrowym.

— Mów, powiadam ci — zagrzmiał Lugare i wywinął rózgą w niedwuznaczny sposób nad jego głową.

— Nie mogę... teraz... — rzekł wreszcie chłopak szeptem. — Powiem panu nauczycielowi później... proszę mi pozwolić... usiąść... Jest mi... niedobrze.

— Wierzę — rzekł nauczyciel, wypuszczając nosem kłęby powietrza, przyczem głośny szmer powstawał. Lecz nie wmawiaj sobie, że to ci ujdzie płazem. Znam cię dobrze, tyś lotrzyk nad lotrami! Zostawiam ci godzinę spokoju; potem cię znowu poproszę łaskawie na środek sali. A jeśli mi wtedy nie wyznasz prawdy, to wlepię ci taką porcyę, że długo popamiętasz owoce pana Nicholsa. A teraz marsz — na miejsce!

Drżąc i opierając się o ławki, wrócił Tim na swe miejsce. Czuł, iż zawrot głowy coraz więcej świadomość mu odbiera, że jakieś rozmarzenie go ogarnia i że zapomina, gdzie się znajduje. Oparł ręce o ławkę i skrył w nich głowę.

Klasa tymczasem wróciła do codziennego trybu zajęć. Odkąd Lugare został nauczycielem we wsi, codziennie tak brutalne sceny poczęły się mnożyć w szkółce, iż uważano je co najwyżej za zwykłą przerwę w nauce.

Podczas gdy szkółka czerpie wiedzę z ust „światłego“ nauczyciela, wytłómaczymy jaki związek zachodzi między dzisiejszą inkwizycyą Tima a wczorajszym jego pobytem koło płotu ogrodu. Matka chłopaka była wdową i pozostawała w bardzo przykrych stosunkach majątkowych, bardzo szczupłe tylko mając utrzymanie dla siebie i swego jedynaka. Ojca stracił Tim już w szóstym roku życia. Wówczas był tak wątłym i schorzałym, że życie jego liczono na tygodnie. Niespodzianie utrzymał się przy życiu, a to dzięki kuracyi, której z niezwykłą pieczołowitością podjął się miejscowy lekarz. Lecz mimo to zapewniał lekarz, że niebezpieczeństwo dla chłopaka nie minęło, bo wobec wątłego organizmu każdej chwili jest narażony na natychmiastową śmierć. Biedna wdowa nie pozbyła się zatem wcale troski o swego jedynaka, lecz kiedy kilka lat upłynęło, a ponura ta przepowiednia nie ziściła się, zyskała matka pewność, że syn jej zupełnie wyzdrowiał i że stanie się kiedyś podporą i ozdobą jej starości. I tak przebijali się przez życie wśród biedy i wiecznych zmartwień, lecz nigdy nie skarżyli się: on ze względu na matkę, a ona na niego.

Wskutek swej uprzejmości zyskał Tim wielu przyjaciół we wsi. Między nimi znajdował się młody gospodarz, nazwiskiem Jones, zawiadujący wielkiem gospodarstwem w sąsiedztwie. Często obdarowywał Tima worem kartofli, zboża lub jarzyn, lecz bojąc się swego starszego brata, któremu wrodzone skąpstwo kazało potępiać takie objawy czułości i litości, czynił to w ten sposób, by się nikt tego nie domyślał, a prócz tego, także ze względu na wdowę: wobec sąsiadów upokarzałoby może ją przyjmowanie podarku w postaci prowiantu. Bo ludzie biedni doznawają częstokroć wytłómaczonego zresztą strachu przed objawami swego ubóstwa.

Pewnego wieczora dowiedział się Tim, iż Jones pragnie go znowu obdarować worem kartofli, który mu wręczy koło ogrodu Nicholsa. To był ów ciężar, którym obarczony skradał się biedny chłopczyna z pod płotu ogrodu, unosząc darowiznę do domu. Z powodu tegoż woru odpowiadał teraz przed okrutnym swym sędzią. A Lugare wcale wyrozumiałym nie był i bynajmniej nie nadawał się na wychowawcę dzieci. Brutal, a dotego raptus, był postrachem powierzonej jego pieczy dziatwy. Kiedy mógł karać, serce jego się radowało. Nie wiedział zupełnie o tych bogatych źródłach, spoczywających na dnie duszy dziecięcej, a które dobrocią i łagodnością tak łatwo sprowadzić można do wypływu. Nie był zresztą wyjątkiem...

Godzina, którą Timowi dał do namysłu upłynęła. Wszyscy towarzysze zwrócili swój zwrok ku biednemu skazańcowi, a na ich twarzach malował się przestrach i litość. Tim siedział w tej samej pozycyi, co przed godziną, z głową ukrytą w dłoniach, opartych o ławkę.

Lugare zajął miejsce za stołem, a przed siebie położył najdłuższą i najsilniejszą trzcinkę.

— A więc — rzekł — powiedz prawdę Tim! Teraz nasz interes załatwimy... wyjdziesz na środek.

Tim nie ruszał się z miejsca.

W sali zapanowało grobowe milczenie, tylko od czasu do czasu wyrwało się z piersi któregoś z chłopaków tłumione westchnienie.

— Słyszałeś? Wyjdźże na środek, bo źle na tem wyjdziesz. Natychmiast rozumiesz!

Chłopak siedział nieporuszony. Nauczyciel przeczekał chwilę i zdawał się zastanawiać w jaki sposób najlepiej dokona dzieła zemsty. Chwila ta zaciężyła na umysłach zebranych. Twarze ich wydłużyły się...

— Tim śpi, proszę pana nauczyciela, rzekł wreszcie siedzący obok chłopak.

W tej chwili znikł wyraz dzikiego gniewu z twarzy nauczyciela, ustępując miejsca uśmiechowi straszniejszemu jeszcze, niż poprzedni gniew. Radował się widocznie widokiem przerażenia, które malowało się na wszystkich twarzach wokół niego. A może cieszył się myślą w jaki sposób obudzi śpiocha.

— Tak? A więc spać w szkole to umiesz, synalku. Połaskoczemy cię, to obudzisz się z pewnością. Nasz chłopaczek wcale nie lęka się batów... myśl o tem wcale go niepokoi... śpi sobie łajdak jak pod pierzyną...

I znów uśmiechnął się Lugare po tych słowach. Wziął w rękę trzcinę i zestąpił na palcach z katedry. Cicho między ławkami się przekradając, stanął przed śpiącym Timem. Chłopak nie zdaje się nie wiedział o grożącem mu niebezpieczeństwie. Może śnił w tej chwili o szczęściu i weselu... Może właśnie uniósł się daleko od świata w sferę fantazyi, może widział obrazy i doznawał rozkoszy, których sroga rzeczywistość nigdy dostarczyć nie może.

Lugare podniósł laskę w górę i spuścił ją z wprawą, nabytą długiem doświadczeniem, na plecy Tima z taką siłą, iż możnaby nią obudzić z letargu na wpół skostniałego człowieka.

Raz po razie padał coraz szybciej. Nie oglądając się na skutki uderzenia, tłukł brutal to jedną stronę pleców

chłopaka, to drugą. Po dwóch czy trzech minutach, zmęczony biciem, wstrzymał się.

Podrażniony tym oporem, chwycił Lugare chłopca za rękę i cisnął go w bok. Głucho uderzyła głowa chłopca o ławkę. Twarz była ku górze zwrócona.

Spojrzawszy w twarz siedzącego, Lugare zdrętwiał. Twarz jego pobielała; trzcinka wypadła z ręki; powieka rozszerzyła się; śmiertelny przestrach przebijał ze wzroku, który utkwił w chłopaka.

Ciężkie krople potu zabłyszczały na jego twarzy; wargi skurczyły się tak, że można było ujrzeć zęby; a kiedy wreszcie wyciągnął rękę, by dotknąć się dłonią policzka chłopca, drgał każdy palec jak język węża.

Tim nie żył...

Z pewnością sporo czasu już od śmierci jego upłynęło, bo ciało skostniało.

Śmierć salę szkolną nawiedziła.... laska nauczycielska biła umarłego.

Walt Whitman.

OPINIA.

(Scenka z ulicy).

Z domu na Wilhelmowskim placu wypadła jakaś dziewczyna, za nią wysunęła się wiekowa dama i obie razem zaczęły rozglądać się po ulicy.

— Jest! jest! — krzyknęła dziewczyna.

— Gdzie?

— W stronę Działowego placu zmyka!...

— Gońże go Marysiu! a to niegodziwiec! nie daruj mu!...

— No! no! — zawołała Marysia — już ja mu pokażę!

I, postawiwszy koszyk przy pani, puściła się pędem. Za nią pobiegły tłumy gapiów.

Wiekowa dama przysunęła sobie koszyk i jęła pilnie wypatrywać za Marysią.

— Czo to było? — zaczepiła damę jakaś jejmość w chuście — z wyglądu kucharka.

— Zbyteczna ciekawość — usłyszała w odpowiedzi.

— Proszę! jaka mi jentelegentna — mruknęła obrażona jejmość i ruszyła śpiesznie dalej.

— Gdzie pani Marcinowa tak draluje? — wstrzymało zziajaną jejmość pytanie.

— Nie widziała to panna Agata nic?

— Widziałam, a może i niewidziałam...

— Dopiruśko gnala tu Maryśka! wi panna, ten kołtun familjantka czy cosik tej starej emerytki... niby sługa, a nie sługa! co jej nasza sklepiczarka tak nie lubi!

— Jużem się domyśliła — Maryśka!...



A. Moreau.

MENUET.

—Toto, to! Poleciała — ci jak szalona! pytom się grzecznie starej, niby jej pani, „czo to było“ a ona wywarła — ci na mnie ślepie i prychnęła niby kocur!...

— Resztokracja ją pewnie rozdena!

— I tak, przez łaszki, słyszałam co ze sobą gadały...

— Czo? czo?

— Goń-że go! — zawołała stara — niedaruj mu, kiedy taki niegodziwy!

— Czo-by to być mogło?

— Ślepy-by wymacał, że o chłopie była mowa!

— Ukradł im co?

— E! jaka to panna Agata ciężko domyślna! Nie wi to panna, że ten kołtun z tapicerem ma się żynić?

— Niewiedziałam!

— Pono stara, niby jej pani, mówiła tapicerowi, że takiej poczciwej żony drugiej nie nańdzie...

— Cóż się stara do nich wtrąca?

— Ho! ho! niewiadomo czo i jak! Pono ją tapicer chciał puścić w trąbę!

— Rozumiem!

— Sklepiczarka dobrze wi, co się w kamienicy dzieje... Niedalej jak onegdaj mówiła do mnie: niech się pani Marcinowa tej Maryśki jak ognia strzeże, bo to straśnie zepsuta dziewczyna...

— I do mnie czoś o tem mówiła, a wczoraj to na własne uszy słyszałam, jak się z nią kłóciła o złą wagę cukru i o bułki, że stare...

— Lizus szelma! Taka, to nam wszystkim opinję pszuje!... Sklepiczarka mi jeszcze mówiła, że ona...

Tu pani Marcinowa splunęła i szeptem coś pannie Agacie powiedziała.

— Czo też pani mówi — zdziwiła się panna Agata.

— Jej stara ma być taka sama!

— To niepodobne do wiary!

— Kużda Eleonora nańdzie se amatora! Wiem to od sklepiczarki, a co ona powie to — święte! Zamknąć oczy i wierzyć!

— Więcz Maryśka za tapiczerem tak darła?

— Spośdziewam się!...

W czasie tej rozmowy Marysia ukazała się od strony ulicy Fryderykowskiej otulona starannie chustką.

— Widzi ją panna Agata? jak się to owinęła! Nie mówiłam? co?

— Jaka czerwona!

— Musieli się dobrze z sobą przemówić. Czekaj panna Agata, ja, niby nic niewiedzący, zańdę jej drogę i spytam się jak poszło.

— Dobrze, dobrze, ja se stanę z boku za świadka — szepnęła panna Agata.

Pani Marcinowa, niezwlekając, zaczepiła Marysię:

— Złapała go panna?

— Złapałam — odrzekła zdziwiona Marysia.

— Wykręcoł się?

— I jak!

— Trza-go było pięścią po łbie!

— E! co się miałam znęcać...

— Żal było kawalera! — roześmiała się zjadliwie pani Marcinowa.

— Kawalera? — zachichotała dziewczyna.

— To on żeniaty?

— Niech go się pani spyta — odrzekła drwiąco Marysia, ukazując z pod chustki zziajanego pieska!

Marjusz.

Orałem pole....

Orałem pole o złotym świcie,
Orałem pole, rzucałem ziarno;
O bujnym plonie marzyłem skrycie,
Dzieliłem głodnych dłonią ofiarną.

Lecz pomętniało słońce w błękicie,
Niebo się w szatę odziało czarną...
Orałem pole o złotym świcie —
Wichry i burze rozwiały ziarno.

Choć jedna wiosna, chmurna i łzawa,
Druga się może słońcem rozśmieje,
Druga mi będzie kwieciem jaskrawa —
Znów orać będę, ziarno zasieję.

A jeśli wzrosną chwasty i trawa
O trzeciej będę pieścić nadzieję!
Choć jedna wiosna chmurna i łzawa,
Druga się może słońcem rozśmieje.

Z. Wł. Zacharkiewiczówna.

Zdrowie w zimie.

(Pogadanka hygieniczna.)

Jakto w zimie? Czyż człowiek ma inne zdrowie na porę letnią, a inne na zimową? zapyta kto może, przeczytawszy tytuł powyższy. — Bynajmniej. Zdrowie jest zawsze, w lecie, czy w zimie, jednakowe, zawsze najcenniejsze ze wszystkich darów, jakie Opatrzność zsyła na człowieka. Tylko, że warunki, w jakich zdrowie nasze utrzymywać mamy, są odmienne, zależne od pór roku.

W zimie, w naszym klimacie, najbardziej pozwalamy sobie na „rozpieszczanie'' ciała, a co za tem idzie i na spaczenie ducha.

Co to jest „rozpieszczanie?'' Czy w lecie mniej rozpieszczamy ciało, aniżeli w zimie?... Tak jest. W lecie dni są gorętsze, a my, chcąc ciało do nich przyzwyczaić, ubieramy się lekko, wystawiamy je na przewiew wiatru bez obawy przeziębienia. Słowem przyzwyczajamy ciało nasze do otaczającej je temperatury. Zimą inaczej. Tulimy się w ciepłe palta, futra, kalosze, szale itp., czyli chronimy ciało przed tym wpływem, do którego przyzwyczajać je powinniśmy. Jest to zupełnie coś podobnego, jak kiedy matka pragnie uchronić pieszczocha swojego od gorących lub mroźnych podmuchów życia, a chce mu zapewnić otoczenie ckliwo-letnie. Nie dobre to chowanie; pierwsza lepsza przeciwność zwarzy roślinkę w cieplarni wyhodowaną.

Indyanin Ameryki północnej nie narzeka wcale na mrozy, choć większe są one tam, niż u nas, a ubranie jego nie bardzo różni się od tego, w jakiem pradziad nasz udał się na wędrówkę po ziemi, gdy go z raju wypędzono. I każdy z nas zobaczywszy Indyanina „arcyskromnie'' ubranego na kilkunasto-stopniowym mrozie, zapyta ze zdziwieniem: „i ten człowiek nie zmarznie?'' — Nie. Tak samo nam nie zmarznie twarz, pomimo, że na mróz bywa wystawianą, a raczej dlatego, że do mrozu bywa przyzwyczajaną.

Indyanin Ameryki północnej uważa zimę za najpiękniejszą porę roku. I słusznie — bo w tej porze czuje się on bardziej rzeźkim, żwawym, nie podlega tak łatwo zmęczeniu, jak podczas skwarnego lata. A my?... Pomiędzy nami są i tacy, którym zimno jest w pokoju ogrzanym, przy napalonym piecu. Czyż można dziwić się, że taki człowiek ulega łatwo zaziębieniom, skoro go tylko chłodny wietrzyk owieje.

Nie umiemy cenić naszej zimy, która bezsprzecznie posiada dobre strony i wielkie zalety. Jedyna to pora roku, w której nastręcza się nam sposobność do wzmocnienia naszego organizmu, do nabrania hartu i siły potrzebnych w trudnej walce życiowej.

W zimie uwydatnia się najwięcej walka dwóch równych sobie przeciwników: zimna i ciepła. Najbardziej obawiamy się, ażeby zimno atmosfery nie odniosło zwycięztwa nad ciepłem w ciele naszem; wyrażając się po prostu: obawiamy się zaziębienia. Niestety, zapominamy przy tem zazwyczaj, że jedynym, najlepszym środkiem przeciw zaziębieniu jest wytworzenie w ciele ciepła naturalnego za pomocą ruchu, a względnie pracy na świeżem powietrzu.

Stara a niewzruszona prawda głosi, iż najpewniejszą ochroną przeciw zaziębieniu jest przyzwyczajenie do zimna. Czemuż o prawdzie tej zapominamy?

Rodzice, którzy chcą dzieci ochronić od zaziębienia, obwijają je we wszelkie możliwe ciepłe ubrania, wyświadczają im bardzo, ale to bardzo złą usługę. Młodzież powinna uczyć się marznąć, do czego znakomitą sposobność nastręczają w zimie ślizgawki, gry na śniegu, chodzenie po górach.

Im więcej młodzież używa ruchu w zimie, w możliwie lekkiem ubraniu, tem bardziej rozwija się cieleśnie, tem



H. Dahl.

Wesoła jazda.

większego nabywa hartu i siły odpornej.

Ale i dorośli powinni strzedz się rozpieszczania ciała zbyt ciepłem ubraniem. Niechajże przynajmniej szyi pozostawią swobodę, nie obwijając jej grubemi chustami i szalami. Niestety, coraz więcej widzimy mężczyzn, którzy, wzorując się na modzie damskiej, sprawiają sobie kołnierze futrzane i zawieszają je około szyi. A właśnie dla tego najłatwiej się zaziębiają i gdy przypadkowo bez kołnierza wyjdą na zimne powietrze; to napewno wracają z katarem (nieżytem) nosa, gardła lub krtani.

Nie tak łatwo zaziębiają się ci, którzy wogóle nie noszą żadnych futer, ale wyszedłszy na chłodne powietrze, biegają i poruszają się prędko. Przedewszystkiem zaś powinniśmy w zimie pamiętać o należytem oddychaniu, znajdując się na świeżem powietrzu. Stanowi to poniekąd najtańszy środek ogrzewający, gdyż głębokiem oddychaniem pędzimy krew do najdalszego zakątka kończyn naszego ciała. Z tej też przyczyny nader donośne znaczenie dla zdrowia naszego ma tak przyjemna rozrywka, jaką jest łyżwiarstwo.

Specyaliści spierają się co do kwestyi, czy mróz tępi bakterye chorobotwórcze. Ale bez względu na zdanie uczonych, proste doświadczenie poucza, że w zimie powietrze jest czystsze, niż w lecie, i że w czasie mroźnej zimy mniej chorób panuje, aniżeli jesienią lub wiosną. Dla tego też nie zaklejajmy okien na zimę kitem, watą lub papierem; przeciwnie, otwierajmy je często i wpuszczajmy przez nie czyste, suche powietrze. Nie obawiajmy się straty na opale; otwierając okna dosyć często, oszczędzamy paliwa, rzeczą bowiem dowiedzioną jest, iż czyste powietrze sześć razy prędzej się ogrzewa i dłużej zachowuje w sobie ciepłotę, aniżeli zużyte.

A zatem precz z przesądem i obawą, że ogrzany pokój zamkniętym być musi, choćby przytem kłęby dymu tytuniowego i inne brudy ledwie oddychać pozwalały. Tylko śmiało!... odejmijmy kit i otwórzmy okna choćby na kilka minut. Zimny przewiew wymiecie zepsute powietrze i zastąpi je czystem, a wówczas dopiero przekonamy się, jak szybko i przyjemnie ogrzeje się powietrze w pokoju.

Przewietrzanie mieszkania zimową porą jest niezbędnie potrzebne. W sypialni powietrze ciągle trzeba odnawiać, także nocą, choćby tylko przez otwarcie pieca. Powietrze czyste to pierwszy warunek zdrowia. Nie wierzą widocznie w to ci, którzy urządzają sypialnię w najciaśniejszym, a nieraz i najciemniejszym pokoju, do którego powietrze prawie wcale nie ma dostępu.

Kto obawia się w zimie chłodu i katarów, niechaj chroni się przed niemi nie za pomocą cieplego ubrania, szalów lub kołnierzy futrzanych,

ale za pomocą zimnej kąpieli, albo codziennego nacierania całego ciała zimną wodą, a jeszcze lepiej świeżym śniegiem. Śnieg ten, to istny eliksir zdrowia. Nie drogi, dla każdego dostępny, ale trzeba korzystać z zimy, bo w lecie i za grube pieniądze dostać go nie można.

Dr. A. Z.

Nasze illustracye.

W. Strutt. — *„Pokój niosę wam“.* Wilhelm Strutt należy do celniejszych malarzy najświeższej doby. Celuje w obrazach treści religijnej, które odznaczają się bogactwem fantazyi i poprawnością rysunku.

* * *

L. M. Ehler — *Chór aniołów.* Ludwig Maryan Ehler, malarz współczesny duński, celuje w odtwarzaniu głów dziecięcych i kobiecych. Jego obrazy treści fantazyjnej i religijnej cieszą się wielkiem powodzeniem.

* * *

K. Becker. — *Pomoc.* Karol Becker, wybitny malarz współczesny, ur. 1852, uczeń akademii Düsseldorfskiej, czynny tamże jako profesor. W obrazach jego zazwyczaj przebija poważna poezya morza Północnego. W obrazie „Pomoc“ artysta przedstawia łódź z rozbitkami, w chwili gdy zrozpaczonym przybywa pomoc w postaci sznura, wyrzuconego z haubicy ratunkowej.

* * *

A. Moreau. — *Menuet.* — Menuet, taniec francuzki narodowy, najbardziej był rozpowszechnicny za czasów Ludwika XIV. Znakomity malarz francuzki A. Moreau obrazuje nam świetnie ten taniec.

* * *

Hans Dahl — *Wesoła jazda.* Nie po raz pierwszy czytelnicy nasi spotykają się z podobiznami obrazów Dahla, znakomitego malarza norweskiego. Życie wśród fiordów Norwegii, — to najulubieńszy jego temat. „Wesoła jazda“ to także „kawałek“ życia ze stron owych. Obrazek sam się tłomaczy — bliższe więc wyjaśnienie jego treści byłoby zbyteczne.

—ski.

Rozmaitości.

— **Sprzeniewierzenie w kasie św. Wacława.** Głośna w Czechach sprawa olbrzymiego sprzeniewierzenia w praskiej Kasie pożyczkowo-oszczędnościowej pod wezwaniem św. Wacława zakończyła się świeżo skazaniem ks. kanonika Jana Drozda i dyrektora Kohouta na 7 lat ciężkiego więzienia, kasjera Herziga na 3 lata i buchaltera Pekeländera na 13 miesięcy. Skazanym dowiedziono oszustwa i fałszerstwa ksiąg kasowych. Dwóch oskarżonych uniewinniono.

— **Piekielny pomysł.** W Medjolanie budzi obecnie powszechne zajęcie zamach na życie i majątek miljonera, Ludwika Beretty, słynnego we Włoszech hodowcy psów rasowych. Beretta, kawaler, lat 30 liczący, odziedziczywszy po rodzicach majątek, dochodzący do 7 mil. lirów, i będąc namiętnym lubownikiem psów, poświęcił się całkiem ich hodowli. W lombardzkiej wiosce Tregolo założył psiarnię wspaniałą i brał udział we wszystkich wystawach psów, zdobywając nieraz pierwsze nagrody. Nie dziw też, że zaprzyjaźnił się bardzo przed laty kilku z innym znawcą psów, redaktorem gazety sportowej w Medjolanie i autorem kilku dziełek o hodowli psów, Angelem Vecchio. Przyjaźń ta zdawała się być szczerą, ale w istocie była taką tylko ze strony Beretty; Vecchio bowiem, sam ubogi, czuł w głębi duszy nienawiść do bogatego Beretty i przemyśliwał tylko nad tem, jak przyjaciela z miljonów ograbić. Wreszcie powziął plan piekielny. Oto wynajął w Medjolanie dom na poły zrujnowany, a znany pod nazwą „Villa Madonna“, urządził w nim psiarnię, obszerny basen kąpielowy, oraz kazał w jednym z pokojów zamurować okna tak, aby z ulicy nic widzieć, ani słyszeć nie było można, co się w tym pokoju dzieje. Jako stróża najął niejakiego Józefa Mapellego, człowieka olbrzymiego wzrostu i siły. Według planu Vecchiego, Beretta miał być zwabiony do willi, obezwładniony, zmuszony do podpisania testamentu i utopiony w basenie. Mapelli miał następnie zwłoki zapakować do kufra, wywieźć do Genui i tam zatopić w morzu. Nie podejrzewając nic złego, Baretta przybył na zaproszenie przyjaciela do willi. Mapelli rzucił się natychmiast na gościa, poczem obaj złoczyńcy zaprowadzili skrępowaną ofiarę do pokoju bez okien. Tu zmusili ją najpierw do podpisania trzech weksli po 10,000 lirów, następnie testamentu, którego mocą Vecchio stawał się spadkobiercą Baretty, i wreszcie kilku listów do przyjaciół, w których uwięziony oświadcza, że znudzony życiem popełnia samobójstwo. Otrzymawszy wszystkie te dokumenty, Vecchio wyciągnął jeszcce Barecie pugilares z kieszeni i ze znalezionej tam sumy 500 fr. zatrzymał 300 fr. sobie, a 200 dał Mapellemu, poczem opuścił szybko willę poleciwszy stróżowi rzucić skrępowanego do basenu z wodą. Nieszczęśliwa ofiara zdołała jednak obietnicą wielkiej nagrody wzruszyć pachołka. Po długiem wahaniu, Mapelli rozwiązał wreszcie pęty i zaprowadził Berettę do domu, bogacz bowiem był tak zdenerwowany, że sam iść nie mógł. Przywołany lekarz domowy, dowiedziawszy się o przyczynie choroby pacjenta, zawiadomił policyę. Pomimo próśb Beretty, aresztowano Mapellego, Vecchio zaś znikł bez śladu.

— **Wypadek królowej Aleksandry.** O pożarze w pałacu sandringhamskim, którego ofiarą omal że nie padła królowa angielska Aleksandra, donoszą pisma angielskie szczegóły następujące: Około godz. 5 zrana śpiąca w pokoju tuż nad sypialnią królowej dama honorowa, panna Karolina Knollys, obudziła się skutkiem dymu, napełniającego pokój. Zerwawszy się z łóżka, zbiegła natychmiast na dół i wpadłszy do sypialni królewskiej, obudziła śpiącą twardo królowę. Zarzuciwszy następnie szlafroki na siebie, królowa i panna Knollys wybiegły do dalszych pokojów, alarmując służbę. We dwie minuty potem zawaliła się podłoga sypialni królewskiej. Zawiadomiony oddział pałacowej straży ogniowej, pod wodzą sekretarza królowej, sira Dightona Prohyna, ugasił rychło pożar. Spłonęły tylko dwa pokoje sypialne; szkody, zrządzone głównie przez wodę, wynoszą kilkanaście tysięcy marek. Jak wiadomo, pożar powstał skutkiem zetknięcia się obnażonych przewodników elektrycznych. Królowa obecna była przy gaszeniu pożaru i natychmiast posłała do króla, bawiącego na polowaniu w Elveden Hall, umyślnego gońca z zawiadomieniem o wypadku.

— **Śmierć hrabianki d'Ivry.** Smutny wypadek sprowadził śmierć hrabianki Diany Ogier d'Ivry w Paryżu. Hrabianka jechała wolantem, zaprzężonym w jednego konia, powożąc sama. Koń pędził wyciągniętym kłusem, gdy nagle z bocznej ulicy wyjechał ciężki wóz, naładowany towarami. Koń hrabianki nie mogąc już zatrzymać się w biegu, uderzył piersią o wóz i padł, łamiąc oba dyszle wolantu. Hrabianka i jej groom wypadli również na bruk. Groom potłukł się lekko, powożąca natomiast rozbiła sobie o kamienie czaszkę. Przewieziona w karetce ambulansowej do szpitala, gdzie z początku wzięto ją za mężczyznę, ponieważ zwykle ubierała się po męsku, wyjeżdżając na spacer,

zmarła tam wkrótce na rękach matki, która przybyła zawiadomiona przez grooma. Zmarła była jedyną córką Edwarda hr. Ogier d'Ivry, wybitnego poety francuskiego, zmarłego w r. z.

— **Kiedy kobieta jest najpiękniejsza?** Na pytanie to odpowiada jeden z dzienników angielskich, że najpiękniejszą jest kobieta pomiędzy 30 a 40-ym rokiem życia. Tak przynajmniej uczą nas dzieje. Kobiety historyczne dochodziły w tym wieku piękności najwyższej. Kleopatra liczyła lat 30, gdy oczarowała Antoniusza. Aspazya miała lat 30, gdy Perikles uległ jej wdziękom. Annę austryjacką uznano za jednę z najpiękniejszych kobiet w Europie, gdy liczyła 38 rok życia. Panna Mars była piękną w 45-ym roku, pani Recamier w 40-ym. Westchnienia więc do młodości pań, które trzydziestkę przekroczyły, nie zawsze są uzasadnione.

— **Chińczycy wobec zaćmienia słońca.** Ciekawe wiadomości o zachowaniu się Chińczyków wobec zaćmienia słońca podaje „North China Daily News." W dniu i godzinie spodziewanego zjawiska niebieskiego, mandaryni Szanghaju zgromadzili się w wielkiej sali przyjęć trybunału i otoczyli stół, na którym płonęły świece i kartki papieru aromatycznego. Gdy słońce poczęło się zaciemniać, mandaryni, stosując się do rozporządzenia cesarskiego, skłonili się trzykrotnie i 9 razy uderzyli czołem w ziemię. Podniósłszy się jednocześnie wyszli na wielkie podwórze pałacu sprawiedliwości i polecili zgromadzonym tam żołnierzom i cisnącemu się na ulicy tłumowi uczynić jak największy hałas. Natychmiast powstała ogłuszająca wrzawa z akompaniamentem przerażliwej wojskowej orkiestry i wystrzałów broni palnej. Cała ta wrzawa miała na celu odstraszenie niebieskiego potwora, który pochwycił słońce i gotował się je pożreć. Wysiłki mandarynów zostały uwieńczone powodzeniem, gdyż demon, jakkolwiek powoli i z widoczną niechęcią, opuścił zdobycz i ciemności zaczęły ustępować. Wówczas mandaryni powtórzyli ceremonię pokłonów, a następnie pożegnali tłum zachwycony.

Kosztowna małpa. Jeden z impresarjów wiedeńskich zamówił na występy gościnne w Wiedniu „Konsula", niezwykle mądrego szympansa, budzącego obecnie podziw w Paryżu i Londynie. „Konsul" ubiera się po ludzku, jada przy stole nożem i widelcem, kłania się kapeluszem, podaje rękę odwiedzającym go gościom, pali papierosy, jeździ na bicyklu, słowem, omal że nie mówi. Za występy swoje w Wiedniu „Konsul", a raczej jego właściciel, pobiera 25,000 fr. miesięcznie.

Mleko skondensowane, w domu przyrządzone. W gospodarstwach, gdzie się krowy trzyma, nieraz pomimo to daje się uczuwać brak mleka, dobrze więc jeszcze w czasie nadmiaru mleka, pewną jego część przechować, a najlepiej do tego nadaje się kondensacya. W tym celu świeże mleko z równą ilością cukru dotąd się odparowywa, aż wszystka woda z niego wyparuje i mleko nabierze konsystencyi gęstego syropu. Praktyczne zastosowanie takiego mleka jest nader proste. Syrop ten w zimnym stanie rozpuszcza się w wodzie, ciągle go mieszając, przez co tworzy się znów to samo naturalne mleko, nie ustępujące w niczem świeżemu. Można używać je do picia, do gotowania potraw i t. d.

Od Redakcyi.

Panu F. Cz. w Nawrze. My wysełamy „Pracę" na pocztę regularnie tak, iż najpóźniej w niedzielę powinna być w rękach Pana. Jeżeli nie dochodzi Pana na czas trzeba się poskarżyć i upomnieć na poczcie. Zdarzają się wypadki, że na pocztach robią różne trudności abonentom „Pracy", aby ich odstręczyć od narodowego pisma.

— Bardzo lubię czytać „Pracę" itd. — Za rymowaną pochwałę dziękujemy serdecznie.

Panu B. w G. — „Przewodnik Kółek rolniczych" we Lwowie, „Przemysłowiec" we Lwowie, „Przewodnik przemysłowy" we Lwowie.

Pani G. — W jednym i drugim zawodzie trzeba znać dobrze język niemiecki, tak gramatykę jak też ortografią.

Panu S. C. w Buku. — Nadesłane wiersze nie nadają się do „Pracy."

Panu P. M. w Gr. — Postaramy się o te gazety i jeżeli je dostaniemy to Panu przyślemy.

Panu W. Pr. w Inowrocławiu. — Wyjdzie może później w osobnej odbitce.

Dzisiejszy numer „Pracy" jest ostatnim w bieżącym kwartale i roku, więc czas największy zapisywać „Pracę" na nowy kwartał.

Zaproszenie do przedpłaty oraz kwity na „Pracę" i „Czytelnią Polską" zamieszczone są na czele inseratów za powieścią „Śpiewaczka ludowa."

Kto natychmiast, bezzwłocznie nie zapisze „Pracy" na poczcie, ten nie otrzyma na czas numeru noworocznego, w którym rozpoczniemy druk pięknej powieści M. Bałuckiego p. t. „Byle wyżej."

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** **każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał**

tylko 1 mrk. 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z **Poznania.**

W 25-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 27 wielkich arkuszy „Pracy" — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Każdy nowo przybyły Abonent niech nam doniesie dokładnie, od którego numeru „Pracy" życzy sobie mieć powieść p. t. „Śpiewaczka ludowa." Jednocześnie upraszamy tych Szanownych Abonentów, którzy już otrzymali pierwsze arkusze tej powieści, a życzą sobie mieć dalsze o łaskawe dokładne doniesienie nam, które arkusze przysłać im mamy. W każdej „Pracy" jest każdy arkusz powieści numerowany, więc należy n. p. donieść: „proszę mi przysłać arkusze 18, 19, 20 lub też arkusze 15, 16 i 17 i t. p." Na dowód prosimy załączyć kwity pocztowe abonamentowe.



W. Strutt.

„Pokój niosę wam.“

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“

Dział powieściowy.

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851

27)

(Ciąg dalszy.)

— Ale masz ich tak dużo, dwadzieścia co najmniej! Dalej, mów, ile chcesz, ile mają kosztować żmije?

Muszę mieć pięć, pomiędzy niemi tę dużą, która was ugryzła. Jest ona jadowitą?

— O tak! Kto nie ma środka na tę truciznę, umiera w przeciągu dziesięciu minut!

Ah, tak prędko? Tem lepiej. Ile więc chcecie?

— Dwieście rubli!

— Dam wam dwieście rubli, ale pod warunkiem, że włożycie mi żmije w naczynie, które wam przyniosę!

— Bardzo chętnie! Kiedy wielmożny pan przyjdzie?

— Przed wieczorem, gdy się ściemni. Nie chcę, aby mnie tu kto widział!

— Rozumiem, — roześmiał się kuglarz, — zdaje mi się, że wielmożny pan kogoś bardzo kocha i chce mu przyjemną zrobić niespodziankę. Mnie to obojętne — w Warszawie lichy mam zarobek — dziś na wieczór rozbiorę moją budę i pójdę dalej w świat!

Bondi dał mu na zaliczkę pięćdziesiąt rubli, kazał mu zjeść przekąskę i wypić wino, i obydwaj rozstali się na kilka godzin, przyrzekając sobie nawzajem przyjść tu znowu o godzinie siódmej.

I z uderzeniem siódmej stanął Bondi przed budą kuglarza.

— Czy w to mam włożyć żmije? — zapytał poskramiacz, wskazując na skórzane puzdro korony.

— Tak, — odrzekł Bondi, i nacisnąwszy ukrytą sprężynę, otworzył je całkiem.

Kuglarz wziął pięć największych gadów i włożył je w puzdro, a Bondi zamknął je natychmiast.

— Żmije będą trochę niespokojne, ale to długo nie potrwa, — rzekł poskramiacz. — Muszą się najpierw przyzwyczaić do nowego mieszkania. Tylko niech wielmożny pan pudła nie otwiera, bo nie odpowiadam za nic, jeżeliby jedna z nich uciekła. Napadłaby bez namysłu najbliżej stojącego — i śmierć nastąpiłaby w przeciągu dziesięciu minut, jak już to panu powiadałem.

— Bądźcie spokojni, — odpowiedział Bondi, — ja pudła nie otworzę i mam nadzieję, że nikt tego nie uczyni. Żal by mi było nieoględnego, ale.....

Bondi umilkł. Dał kuglarzowi resztę pieniędzy i obydwaj bardzo byli z siebie zadowoleni.

— Dziękuję panu, — rzekł kuglarz. — Jeżeli będziesz kiedy potrzebował żmiji, to ja ci ich dostarczę! W górach mojej ojczyzny dosyć tam tego, trzeba jednak umieć je chwytać!

Bondi wziął teraz puzdro, pożegnał kuglarza i pobiegł czemprędzej do swego mieszkana.

Tu postawił puzdro na stół i zawołał, śmiejąc się szyderczo:

— No, spodziewam się, że nikt mi już korony nie ukradnie. Żałowałbym Marcillosa, gdyby w czasie mej nieobecności miał przysłać po nią! Ale zobaczymy!

Bondi ubrał się bardzo starannie, nie zapominając o pistolecie, który włożył do kieszeni. Któż mógł przewidzieć, co się w nocy stać może!

Zanim wyszedł, udał się do kuchni, aby zobaczyć, co Jankef porabia.

Biedny żyd nie ruszał się. Spał on prawdziwie kamiennym snem.

— Jeszcze tylko do jutra rana, — szepnął Bondi. — Potem możesz wrócić do twego pana i opowiedzieć mu, co tu widziałeś! Spij, mój przyjacielu!

Kilka minut później znajdował się Bondi na drodze do pałacu Marcillosa!

ROZDZIAŁ LXVI.

Połączeni — w śmierci.

Wspaniałe salony w pałacu bankiera rzęsistem dziś jaśniały światłem.

Gości było przeszło stopiędziesiąt — panie w strojnych sukniach i mężczyźni w mundurach lub frakach ozdobionych wysokiemi orderami, przechadzali się, rozmawiając żywo i śmiejąc się wesoło. Efraim Marcillos mógł być dumny na takie towarzystwo, składające się z osób należących do najwytworniejszego świata!

I gdy teraz uprzejmie uśmiechnięty przyjmował wysokich gości, nie byłby nikt przypuszczał, że przed laty był to skromny, biedny żydek, który za pół rubla pracował ciężko cały dzień, nie mając ani całego ubrania, ani całych butów. Nikt go wówczas nie znał, a dziś....

Dziś było inaczej. Efraim zrobił ogromną karyerę, ale nie przebierał też w środkach, gdy chodziło o jego zysk. Umiał on korzystać z każdej sposobności zbogacenia się — wielu upadło z jego powodu, on zaś wzniósł się ponad wszystkich i był dziś królem w świecie finansowym.

Niejeden przeklinał go, niejeden stał się żebrakiem, ale to go nic nie obchodziło. I gości jego także nie, wszakże bawiono się u niego zawsze doskonale, a kolacye jego i obiady słynęły w całej Warszawie!

Ale największym jego skarbem była Carmen.

Prześliczna ta dziewczyna, dziedziczka milionów, odznaczała się dziś niezmierną skromnością stroju. Ubrana w białej, powiewnej sukni, wyglądała jak lilia, wysoka, wysmukła, pełna królewskiego wdzięku i powabu.

Twarz jej promieniała szczęściem i radością, mianowicie, gdy oczy jej spotykały się z oczami pięknego i świetnego oficera Włodzimierza Gurko.

Młody ten oficer pochodził z starej, szlacheckiej rodziny, i służył w gwardyi ułanów, zawdzięczając to jedynie łasce Wielkiego księcia Konstantego, sam bowiem żadnego nie posiadał majątku. Książę kazał mu też co miesiąc wypłacać znaczną sumę pieniędzy, ale Włodzimierz tyle zawsze miał wydatków, że nie mógł wystarczyć przeznaczoną mu sumą i pełno wszędzie miał długów.

Teraz jednak miało się wszystko zmienić!

Udało mu się pozyskać serce pięknej Carmeny, a chociaż się Marcillos z początku związkowi temu opierał, mówiąc, że Carmen za młodą jeszcze jest, aby iść za mąż, to w końcu jednak dał się uprosić i pozwolił na to małżeństwo

Nie mógł też sobie życzyć lepszego męża dla ukochanej jedynaczki.

Dziś po kolacyi miały się odbyć zaręczyny młodej pary.

— Jakże się przeciwnicy moi gniewać będą, — myślał bankier zadowolony, — gdy usłyszą, że Carmen wychodzi za jednego z najpierwszych arystokratów rosyjskich! Niech mi jeszcze kto przypomni, że handlowałem szmatami i skórkami! Włodzimierzowi dałby każdy magnat córkę!

Młody oficer był zresztą szalenie zakochany w swej narzeczonej. Miliony jej nie nęciły go tak bardzo, chociaż przyznawał sobie w duszy, że lepiej mieć je, niż nie posiadać ani grosza, i że musi być wcale przyjemnie, mieć tak bogatego teścia. Ale po nad tem wszystkiem stała jego miłość dla Carmeny.

Efraim Marcillos układał sobie inny jeszcze plan, który niebawem miał być wykonanym. Postanowił on oddać jakąś wielką przysługę rządowi rosyjskiemu i prosić o tytuł barona. Jakby to pięknie brzmiało:

„Baron Marcillos!“

Jaką zaś miała być owa przysługa?

Marcillos przeszedł wszystkie salony, szukając jakiegoś gościa, który dotąd jeszcze nie przyszedł.

Ale teraz zbliżył się służący do niego i szepnął mu kilka słów do ucha.

— Ah — do mojej pracowni, — zawołał bankier zadowolony, — powiedz Ekscellencyi, że ja zaraz przyjdę!

I zaraz potem wchodził do swego pokoju.

Na środku tegoż stał — Lebel.

O czem obydwaj teraz rozmawiali, tego nikt podsłyszeć nie mógł, szeptali bowiem tak cicho, że czasem jeden drugiego nie rozumiał. Pochylali się więc wtedy jeszcze bliżej ku sobie. Rozmowa ich trwała dłużej, jak 10 minut.

A gdy Marcillos wrócił potem do salonu, rzekł do swej żony:

— Jutro będziesz baronową! Nie patrz na mnie z takiem zdumieniem! Widzisz, ja wszystko zdobyć umiem! Jutro spełnią się wszystkie moje życzenia!

W tejże chwili dał się słyszeć głos barona Bondi.

— Panie Marcillos, zaprosiłeś mnie — otóż jestem!

Bankier drgnął.

— Ah, nareszcie, nareszcie, — zawołał, zmuszając się do swobodnej uprzejmości, — dobrze, że pan przyszedłeś! Musimy się porozumieć..... Chodź pan ze mną!

I zaprowadził go do małego pokoju, oświetlonego tylko jedną lampą.

— Siadaj pan, — rzekł cicho. — Myślę, że sprawę załatwimy bardzo prędko. Jeżeli pan oddasz mi koronę za czternaście milionów, to otrzymasz pieniądze dziś jeszcze!

— Czternaście milionów — hm, to mało, ale chodzi mi o to, że mam do czynienia z uczciwym człowiekiem, i że pieniądze zostaną mi zaraz wypłacone!

— Otrzymasz pan czeki na bank angielski i kilka milionów w rosyjskich banknotach!

— Zgoda. Kiedy mam panu wręczyć koronę?

— Gdzie ona jest? Nie mógłbyś mi ją przywieść dziś jeszcze?

— Zapewne! Jeżeli pan każesz, przyniosę pudło, w którem się ów klejnot znajduje

— Dobrze, przynieś je pan o północy!

— Dokąd?

— Tutaj — albo nie, do mojej pracowni. Będę tam czekał na pana! Nie sprawi ci to przecież żadnej trudności? Czy korona znajduje się w mieszkaniu pana?

— Tak jest, u wdowy Binder, na Pradze. Ale dziś bal — po co psuć zabawę interesami pieniężnemi! Możeby było lepiej, gdybym jutro przyniósł koronę!

— Jak pan chcesz! Przyjdź więc jutro o dwunastej w południe — pieniądze będą gotowe. A teraz życzę panu, abyś się w domu moim dobrze zabawił. Jedz, pij i tańcz — wielkim to dla mnie będzie zaszczytem ,jeżeli zostaniesz aż do końca zabawy!

— Czemu aż do końca? Czy pan masz jakiś w tem cel?

— Chcę potem ogłosić zaręczyny mej córki — odrzekł Marcillos z uśmiechem. — Carmen wychodzi za mąż za jednego z naszych arystokratów — pragnąłbym więc, abyś pan był obecnym jej zaręczynom....

— Jeżeli tak, to zostanę bardzo chętnie — zawołał Bondi.

— Wybacz pan, że muszę cię pożegnać — rzekł Marcillos. — Ale goście moi mogliby się obrazić, że ich tak zaniedbuję. Do widzenia jutro o dwunastej!

Po tych słowach wyszedł, a Bondi z szyderczym za nim patrzał uśmiechem.

— Idź, idź — szepnął — poślij twoich ludzi do mego mieszkania po koronę. Sam siebie ukarzesz, zdrajco!

Marcillos pobiegł rzeczywiście do swego pokoju i zadzwonił na służącego.

— Prędko — rzekł mu cicho, — weź sześciu ludzi, i spieszcie na Pragę, do domu wdowy Binder. Wyłamać drzwi — w jednym z pokoi znajduje się duże skórzane puzdro, zabierajcie je, a ktoby stawiał opór, tego związać i zostawić w mieszkaniu.

Służący wyszedł, a bankier z swobodnym uśmiechem wrócił do salonu.

W małym salonie, leżącym obok pokoju, w którym rozmawiał bankier z Bondim, siedziała Carmen z narzeczonym.

— Nareszcie jesteśmy na chwilę sami — zawołał Włodzimierz, całując ręce ukochanej. — Czy i ty pragnęłaś widzieć mnie tu, bez świadków?

— Ach i jak! — szepnęła Carmen, spuszczając oczy. — Chciałabym zawsze być z tobą — chociażby na jakiej pustyni! Byle z tobą!

— Dziękuję ci za te słowa! Dziś spełnią się życzenia, dziś ogłosi ojciec twój nasze zaręczyny, a za cztery tygodnie odbędzie się nasz ślub! Potem opuścimy Warszawę — wziąłem urlop na cały rok! I pojedziemy na wieś, i tam, będziemy szczęśliwi, jeżeli Bóg pozwoli.

Ostatnie te słowa wymówił Włodzimierz smutnie i westchnął ciężko.

— Co ci jest, ukochany, co cię smuci? — zapytała Carmen przelękniona. — Powiedz mi, wszakże pomiędzy nami nie powinny być tajemnice!

— Nie, nie....

— Ach, ty ukrywasz coś przedemną! Ale ja muszę wszystko dzielić z tobą, tak dobre jak i złe, powiedz mi więc, co ci na sercu cięży.

— O Carmen najdroższa — zawołał Włodzimierz, załamując ręce. — Bóg nie połączył nas na to, aby nas znowu rozłączyć, nie tak okrutnym on być nie może!

— Co ty mówisz! — szepnęła Carmen drżącym głosem, — czemu my się mamy rozłączać! O mów, co się stało! Przeczuwam, że usłyszę coś okropnego!

— Nie jest to okropne, może to tylko moje przywidzenie — ale myślę, że najlepiej będzie, jeżeli ci wszystko opowiem. Może wyśmiejesz moje obawy!

— Dałby Bóg, aby tak było!

Carmen przycisnęła główkę do ramienia narzeczonego i spojrzała na niego z nieopisaną miłością.

— Słucham twej spowiedzi — szepnęła, zmuszając się do śmiechu.

— Przed dwoma laty — zaczął Włodzimierz — stałem w pewnym małym garnizonie. Skończyłem wówczas właśnie dwudziesty drugi rok, i byłem najweselszym pomiędzy mymi towarzyszami. Bawiliśmy się znakomicie, w małem mieście, gdzie tak mało jest rozmaitości, trzeba korzystać z każdej okazyi, aby się rozerwać, i tak nie zbywało nam na licznych szaleństwach i pustotach. Nie można przecież siedzieć ciągle w kasynie i zabijać czas piciem i grą w karty.

— Pojmuję to bardzo dobrze — przerwała Carmen — i zapewniam cię, że wybaczam ci wszystko, co uczyniłeś, zanim mnie poznałeś. Jest to niezmiernie śmiesznem, jeżeli kobiety są zazdrosne na przeszłość mężów!

— Dziękuję ci za tę absolucyę — będę jej też potrzebował — szepnął Włodzimierz, a lekki rumieniec pokrył jego twarz. — Słuchaj więc dalej: pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że za miastem znajduje się obóz cyganów, i że bardzo tam piękne znajdują się cyganki!

— Musimy naturalnie jechać i przekonać się, czy to prawda — zawołał jeden z towarzyszy, i zaraz też kazaliśmy zaprządz i pojechaliśmy do lasu.

Było nas siedmiu.

Obóz cygański malowniczy przedstawiał widok. Były tam barwne namioty, kotły zawieszone nad ogniem, niedźwiedzie na łańcuchach i mnóstwo cyganów i cyganek, ubranych w kolorowe, fantastyczne stroje.

Zaledwie nas zobaczyli, przybiegli do nas z zapytaniem, czy dziewczęta mają tańczyć.

— Zapewne, niech tańczą — zawołałem i rzuciłem im kilka srebrnych monet.

Cyganie przynieśli też zaraz skrzypce i zaczęli grać, a trzy młode dziewczyny tańczyły, jak najpierwsze baletniczki. Byliśmy zachwyceni.

Ale po skończonym tańcu, gdy nie szczędziliśmy pochwał, zbliżyła się jedna z młodych cyganek ku nam, i rzekła z uśmiechem:

— Ach, wy nie widzieliście nic — nie wiecie, co znaczy tańczyć! Gdybyście ujrzeli naszą królową...

— Waszą królową — przerwałem, — kto to jest? Gdzie jej szukać?

— Tam — odrzekła cyganka wskazując na zamknięty namiot.

Spojrzenia nasze zwróciły się w oznaczonym kierunku. W tejże chwili rozsunęły się zasłony namiotu i wyszła cyganka tak piękna, że oniemieliśmy wszyscy.

Była to prawdziwa królowa piękności. Wysoka, wysmukła o cudnej białej twarzy i czerwonych włosach, poruszała się z nieopisanym wdziękiem, przytrzymując długą suknię małemi, białemi rękami.

— Włodzimierzu, — szepnął jeden z oficerów, — tyś najśmielszy z nas! Idź do niej i proś, aby tańczyła.

— Poszedłem więc, złożyłem jej głęboki ukłon, jak księżnej jakiej, i wyraziłem naszą prośbę. Cyganka patrzała z wyraźnem upodobaniem.

— Chcesz, abym tańczyła? — zapytała.

— Tak!

— Więc będę tańczyć, ale najpierw zaśpiewam ci parę cygańskich pieśni.

Jeden z cyganów przybiegł na jej skinienie z skrzypcami i zaczął grać, oparłszy głowę o pień drzewa, podniosła oczy i śpiewała....

Były to pieśni cygańskie, ale głos cygański brzmiał jak dzwon! I co najdziwniejsze — głos ten był tak wykształcony, jak gdyby brała lekcye u pierwszorzędnych mistrzów w Paryżu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego! Potem tańczyła też, a gdy skończyła, stało przed nią siedmiu oficerów, śmiertelnie w niej zakochanych. Ale żaden z nas nie śmiał jej tego powiedzieć!

Patrzała ona na nas, jak królowa na swoich poddanych, dumna, wyniosła i nieprzystępna!

— Jakie miała imie? — zapytał Carmen. — Bo o ile wiem, to cyganie nazwisk nie mają, tylko imiona!

— Tak, powiedziała ona nam swoje imie, i nie brzmiało ono po cygańsku...

— Jakże więc?

— Aleksandra! Zabawiliśmy jeszcze godzinę u cyganów i mogę sobie podchlebić, że piękna królowa wielką mi okazywała sympatyę. Rozmawiała dużo ze mną, wypytywała o stosunki polityczne Rosji i Austrji, potem mówiła o Anglji, Francyi i Węgrzech — widocznie znała wszystkie te kraje. Ale to nic dziwnego, cyganie włóczą się ciągle po świecie, są dziś tu, jutro tam.

Odjeżdżając, wrzuciliśmy każdy z nas dukata w puhar, z którego Aleksandra piła wino.

Nazajutrz pełniłem bardzo źle moją służbę i major pytał mnie kilka razy ,czy śpię lub czy jestem pijany. Miał on słuszność — nie spałem całą noc, myśląc nieustannie o Aleksandrze i byłem upojony jej cudowną pięknością! Nie gniewaj się, najdroższa, że ci o tem mówię, ale przekonasz się sama, że to był tylko szał młodzieńczy, a nie prawdziwa miłość! Kochać prawdziwie można tylko raz w życiu, a ja tylko ciebie kocham, tylko ciebie jedną!

Tego samego dnia jeszcze pojechałem znów do lasu, ale bez towarzyszów.

Królowa przyjęła mnie bardzo uprzejmie i zaproponowała przechadzkę po lesie.

Szedłem więc obok niej, zachwycony, rozkochany, ale przysięgam ci, że nie dotknąłem nawet jej ręki! Ile razy zamierzałem jej mówić o mej miłości, zwracała rozmowę na inny temat. Mówiła dużo, i w końcu zaczęła wypytywać o teatra, opery i o nazwiska najsławniejszych śpiewaków i śpiewaczek.

Wymieniałem jej wszystkich o tyle, o ile ich znałem, i nareszcie wspomniałem też o Teresie Krones. Ale zaledwie wyrzekłem to nazwisko, gdy Aleksandra krzyknęła głośno i rzuciwszy się w gęste krzewy, zniknęła mi z oczu. Wołałem na nią, chciałem ją zatrzymać, ale daremnie. Tego wieczora już jej nie widziałem!

— Myślisz, że ta ucieczka cyganki miała styczność z imieniem Teresy Krones? — zapytała Carmen. — Ja sądzę, że to niemożliwe, aby taka włóczęga stała w jakimkolwiek bądź stosunku z ową sławną śpiewaczką!

— Nie śmiem tego osądzać — odrzekł Włodzimierz, — wiem tylko, że Aleksandra uciekła, gdy wymówiłem imię Teresy Krones. Ale i ja wątpię, aby te dwie kobiety miały się znać! Nazajutrz pojechałem znowu i znów przyjęła mnie Aleksandra bardzo uprzejmie ,zapraszając na przechadzkę do lasu. Tego wieczora jednak posmutniała w końcu i zdawało mi się nawet, że miała łzy w oczach.

Gdy ją żegnałem, podała mi rękę i rzekła:

— Jesteś dobrym, szlachetnym młodzieńcem! Jutro zobaczę cię jeszcze raz, potem już nigdy. Jutro też podziękuję ci za to, co....

Więcej nic nie powiedziała, a ja łamałem sobie głowę, za co mi ona chce dziękować!

Za co i jak!

Wieczorem czekała już na mnie na zrębie lasu, tak, że nie potrzebowałem wcale iść do obozu cyganów. Przy świetle księżyca widziałem wyraźnie, że twarz jej jest bledszą niż zwykle.

— Przybyłeś, aby mnie pożegnać, — zawołała. — Teraz też podziękuję ci za to, że z biedną, bezdomną cyganką obchodziłeś się jak z kobietą równie tobie ze stanowiskiem i urodzeniem. Podziękowanie moje polega na tem, że przepowiem ci twoję przyszłość, Włodzimierzu Gurko!

Uśmiechnąłem się mimowoli, gdy słowa te wymawiała, bo rzeczywiście spodziewałem się innego objawu wdzięczności. Chciała więc przepowiedzieć mi przyszłość?

Czy ta poważna, piękna dziewczyna liczyła na moją łatwowierność?

Wiadomo że stare cyganki wróżą z kart i ręki, i zarabiają sobie tem sporo pieniędzy. Ale bywa to nieraz powodem wielkiego nieszczęścia, bo są ludzie tak przesądni, że wierzą wszystko, co im cyganka powie i umierają ze strachu, jeżeli im wróżka śmierć wywróży.

Myślałem tak wówczas, nie przeczuwając, że stanie się ze mną zupełnie tak samo.

Aleksandra przeczuwała widocznie moje myśli, bo spoważniała nagle i spojrzała na mnie badawczo swemi pięknemi, ciemnemi oczami.

— Wiem, — rzekła, — że uważasz mnie za jedną z tych wróżek, które twierdzą, że umieją odkryć przyszłość ludziom, a w rzeczywistości mówią tylko to, czego się przypadkiem dowiedzą, albo czego się domyślają. Ale ja wyczytam przyszłość twoją z linii ręki. Nauczyłam się niejednego od pewnej, dziś już nieżyjącej, cyganki, i wiem to, o czem inni nie wiedzą! Znam dużo tajemnic, których nikt inny odgadnąć nie może!

— Więc powiedz mi, piękna Aleksandro, jaką będzie moja przyszłość, — zawołałem, podając jej rękę. — Z twoich ust tylko pomyślnych rzeczy dowiedzieć się mogę, a nawet złe strąca gorycz, gdy ty je wymówisz!

— Powiem ci prawdę, — odrzekła, — i wyznam, że sama jestem ciekawą, co cię czeka i jakiem będzie przyszłe twoje życie. Zobaczymy zaraz! Wyjdźmy na łąkę, tam jaśniej! Tak dobrze — nie przeszkadzaj mi teraz!

I pochyliwszy głowę, zaczęła się wpatrywać w moją dłoń. Stała tak długo, nieruchoma, cała skąpana w promieniach księżyca, piękna jak marzenie —

Nagle krzyknęła przeraźliwie i cofnęła się szybko.

— Żegnam cię, — zawołała, — idź, i nie pytaj mnie o to, co widziałam! Idź, idź — ach, to okropne! Biada mi! Czemu pragnęłam poznać twoją przyszłość! Biedny Włodzimierzu!

Twarz jej śmiertelnie była bladą, a szeroko otwarte oczy miały wyraz okropnego przerażenia.

— Aleksandro, — prosiłem, — powiedz mi, co widziałaś? Co wyczytałaś z linii mej dłoni? Powiedz mi, chociaż by to było coś najgorszego!

— Nie, nie! — krzyknęła, — nie powiem! Za nic w świecie!

— Błagam cię! Ja chcę wiedzieć prawdę!

— Nie, ten tylko jest szczęśliwym, kto nic nie wie, nic.

I już chciała uciekać — nagle jednak obróciła się ku mnie i stanęła.

Z oczu jej spływały wielkie łzy.

— Muszę cię przestrzedz, — szepnęła, — może zdołasz uniknąć smutnego przeznaczenia! I ono jest czasem łaskawe i da się przebłagać.... Słuchaj więc! Strzeż się maleńkiego, czarnego domu — jeżeli zobaczysz go kiedy na drodze twego życia — mały, czarny, zamknięty, bez drzwi i okien, z płaskim dachem — wtedy uciekaj, uciekaj tak prędko jak możesz, bo w tym domku czyha śmierć na ciebie — okropna śmierć! Strzeż się Włodzimierzu, strzeż się czarnego domu! Niech cię Bóg ma w Swej świętej opiece!

Po tych słowach znikła.

Ja wróciłem do miasta, poszedłem zaraz do mego pokoju i próbowałem usnąć, wmawiając w siebie, że takie przepowiednie cyganek żadnego nie mają znaczenia.

Ale gdy sobie uprzytomniłem bladą, poważną twarz Aleksandry, jej smutne oczy i rozpaczliwy okrzyk, wtedy drżałem mimowoli, i nie mogłem tej nocy zmrużyć oka, ani na chwilę.

Czemu nie powiedziała mi więcej?

Czemu nie powiedziała wszystkiego, co wyczytała z mej ręki?

Na drugi dzień chciałem raz jeszcze iść do niej i zmusić ją do wyznania całej prawdy, i zaledwie słońce ukazało się na niebie, kazałem osiodłać konia i jak szalony popędziłem do lasu.

Ale cyganów już tam nie było!

Tylko dymiące się jeszcze węgle wskazywały miejsce, na którem stał ich obóz.

Cisza głęboka panowała tam, gdzie niedawno brzmiały dzikie pieśni i smętne dźwięki gęśli lub skrzypców, a ja stałem zmieszany, zamyślony, nie wiedząc, co o tem wszystkiem myśleć...

Około południa wróciłem do domu.

Na szczęście nie miałem tego dnia służby, ale gdy wieczorem siedziałem z mymi towarzyszami w kasynie, zapytał mnie mój najlepszy przyjaciel:

— Co tobie jest właściwie? Czemu jesteś taki milczący?

— Nie wiem — nic mi nie jest.....

— Czyś chory? Masz gorączkę? Wyglądasz, jak gdybyś był widmo ujrzał!

— Ach, ujrzałem ja widmo — widmo mej własnej przyszłości!

Włodzimirz umilkł.

Carmen mocniej przytuliła się do niego, a w oczach jej błysnęły łzy.

— Muszę wyznać, — szepnął Włodzimirz po chwili, że od tego czasu mało miałem godzin szczęścia i swobody. Przepowiednia cyganki nie wychodziła mi z myśli, i w końcu zapadłem na gorączkę nerwową i byłem tak ciężko chory, że moi lekarze i towarzysze stracili nadzieję utrzymania mnie przy życiu. Ale ja im mówiłem zawsze:

— Bądźcie spokojni, na tę chorobę nie umrę — nie umrę wogóle prędzej, dopóki nie zobaczę maleńkiego czarnego domku!

I wyzdrowiałem, a chcąc koniecznie zapomnieć o wszystkiem, prosiłem o przeniesienie mnie do innego garnizonu. Tym sposobem dostałem się do Warszawy, i tu poznałem ciebie, moja Carmen ukochana!

Pokochałem cię zaraz z całego serca i jestem szczęśliwy! Wszakże dziś jest dzień naszych zaręczyn! Powinienem się cieszyć, radować, a pomimo to — dziś właśnie przypomniała mi się okropna przepowiednia cyganki. Ale teraz zapomnę o niej! Jestem zadowolony, że opowiedziałem ci wszystko — prawdziwie kamień spadł mi z serca — teraz nie myślę już o tem! Mały ów czarny domek istniał pewnie tylko w wyobraźni Aleksandry — może to miało oznaczać trumnę, no, a w trumnie ostatecznie każdy z nas leżeć będzie. W każdym razie unikam trumien jak mogę. Jeżeli zaś niebezpieczeństwo jakie zawisło nademną, to ty najdroższa, oddalisz je twoją miłością, szlachetnością i czystością serca. Ty mi dasz życie i szczęście!

Zanim Carmen odpowiedzieć zdołała, wszedł Marcillos do pokoju.

— Ah, tutaj was znajduję moje dzieci, — zawołał. — Pójdźcie ze mną — czas, abym ogłosił wasze zaręczyny, a oprócz tego czeka was jeszcze jedna miła niespodzianka.

Narzeczeni poszli z ojcem do wielkiej sali balowej, w której obecnie całe prawie znajdowało się towarzystwo.

Marcillos zbliżył się do jednego z małych stolików, okrytych czerwoną aksamitną serwetą i skinął na żonę i narzeczonych, a goście domyślili się od razu, że teraz stanie się coś nadzwyczajnego i obstąpili tłumnie gospodarza domu. Bondi był tu także, ale przezorny jak zawsze, trzymał się blizko drzwi.

— Szanowni państwo, — zaczął bankier donośnym głosem, — zaprosiłem was tu dzisiaj, abyście uczcili waszą obecnością uroczystość rodzinną! Podzielcie się z nami naszem szczęściem, a raczej głównie szczęściem mej córki, która od tej chwili jest narzeczoną kniazia Włodzimirza Gurki! Niech żyje młoda para!

— Niech żyje! Niech żyje młoda para, — krzyknęli z zapałem.

I teraz dopiero posypały się życzenia z wszystkich stron, i uściski, każdy lubił Carmenę i Włodzimirza, i każdy z serca życzył im szczęścia.

— Nie skończyłem jeszcze, — zawołał znowu Marcillos, gdy się pierwszy hałas i gwar nieco uciszył. — Proszę mnie posłuchać na chwilę! Pewien wysoki gość raczy mnie zaszczycać swoją obecnością....

Równocześnie otworzono podwoje i żyd Lebel wszedł do salonu.

Goście zdumieli!

Lebel ukłonił się wszystkim z swobodą człowieka salonowego i zbliżywszy się do narzeczonych, wyrzekł kilka słów cicho, niezrozumiale....

— Ekscellencyo, — zawołał Marcillos, — dzisiejszego dnia obdarzył mnie Bóg wielkiem szczęściem! Mogę wyświadczyć Najjaśniejszemu carowi Wszechrosyi i jego najjaśniejszemu bratu, Wielkiemu księciu Konstantemu pewną przysługę, którą rząd rosyjski będzie umiał uznać w całej pełni.... Wypełniam chętnie obowiązki wiernego poddanego i oznajmiam, że wpadł w moje ręce klejnot, którego rząd rosyjski od dawna już szuka i posiadać pragnie. Klejnot ten wart miliony, ale polityczna i historyczna wartość o wiele jeszcze jest wyższa!

Byłbym się mógł łatwo zbogacić na nim, byłbym mógł olbrzymi zarobić majątek, ale nie wyciągnę nigdy ręki po to, co jest własnością Najjaśniejszego cara!

— Ach, łotrze! — pomyślał Bondi i spojrzał z wściekłością na bankiera.

Marcillos uderzył w ręce i zaraz też otworzyły się drzwi, a czterech służących wniosło na ogromnej srebrnej tacy stare skórzane puzdro.

— Ekscellencyo, — zwrócił się bankier do Lebela, — w imię sprawiedliwości, uczciwości i wierności mej dla cara oddaję ci zawartość tego puzdra!

Zawiera ono prastarą koronę polską, zdobioną najpiękniejszemi kamieniami — jest ona warta miliony! Składam ją pokornie u stóp mego Najjaśniejszego cara!

Niezmierne wzruszenie ogarnęło obecnych. Każdy zbliżył się jak mógł do stolika.

Lebel uśmiechnął się nieznacznie.

— To być nie może! — zawołał nagle Włodzimirz, pochylając się nad puzdrem. — Czy tu ma się rzeczywiście znajdować owa korona, o której tyle cudów rozpowiadano?

Marcillos promieniał.

— Jeżeli wątpisz mój synu, — rzekł, — to przekonaj się sam! Patrz!

I nacisnął ukrytą sprężynę.

Z cichym skrzypnięciem podniosło się wieko, ściany opadły i — —

Dziki, przerażający okrzyk rozległ się po całej sali. W jednej sekundzie zmieniło się wszystko — goście biegli ku drzwiom, popychając się, krzycząc wołając o ratunek.

Pięć wielkich żmiji podniosło się z strasznym sykiem z pudła — pięć par zielonych, błyszczących oczu szukało sobie ofiar, i w następnej chwili....

— Wielki Boże! Ratunku! — krzyknął w śmiertelnej trwodze Włodzimierz! — Żmija ukąsiła mnie, umrę, ah, teraz rozumiem przepowiednią cyganki — jestem zgubiony —

— Włodzimierz! — jękła Carmen, rzucając się ku niemu. — Ratujcie go! Wołajcie lekarzy! Puść mnie, ojcze, ja go muszę ratować — puść mnie — —

— Szalona, czy chcesz umrzeć? — krzyknął Marcillos, trzymając ją silnie. — Uciekaj, póki czas!

Ale młoda dziewczyna ani słuchać o tem nie chciała.

— Nie, nie — krzyczała w najwyższem uniesieniu, wyrywając się ojcu, — nie widzicie, że on umiera? Ah, cyganka miała słuszność — ja chcę umrzeć z nim, kocham go — pozwól mi umrzeć ojcze — Włodzimierzu —

I odpychając ojca, usiłującego ją przytrzymać, upadła obok narzeczonego.

Włodzimierz leżał na ziemi, a żmije rzuciły się wszystkie na niego z nieopisaną wściekłością. Każde ukąszenie było śmiertelne.

Z krzykiem obłąkanej rzuciła się Carmen na ukochanego, podniosła jego głowę i przycisnęła usta do zranionej twarzy. Gorące łzy spływały z jej oczu, szalona rozpacz ogarnęła całą jej istotę.

— Chcę umrzeć z tobą najdroższy — wołała — dziś jest dzień naszych zaręczyn! Ach, czemu nam Bóg nie pozwala żyć, czemu tak młodo musimy umierać.

Z niezmiernem przerażeniem ujrzeli teraz goście, stojący na progu, jak jedna z żmiji owinęła się wokoło ramienia Carmeny i podniosła swą niekształtną jasną głowę.

—Ratujcie moje dziecko! — krzyknął Marcillos, — weźcie ją — dam temu miljon, kto ją ocali...

Ale nikt nie chciał narażać swego życia, nawet za miljon!

Widok rozdrażnionych żmiji był tak okropny, że o walce z niemi ani mowy być nie mogło.

Żmija tymczasem podniosła się jeszcze wyżej i nagle — szybkim jak błyskawica ruchem spuściła głowę i ukąsiła Carmenę w szyję.

Okrzyk grozy rozległ się z wszystkich stron.

Cała ta straszna scena rozegrała się w kilku minutach.

W końcu zdobył się jeden z młodych lokai na odwagę i znalazł rzeczywiście najlepszy sposób ubezwładnienia tych okropnych gadów.

Pobiegł on do sali jadalnej, gdzie właśnie przygotowywano kawę dla gości, wylał śmietanę na talerz i postawił go w bliskości żmiji. Potem cofnął się szybko i zawołał:

— Proszę o sztylet lub o szablę! Ale prędko, na mi... Boską!

Jeden z oficerów wyjął szablę z pochwy i podał mu ją.

Zaledwie żmije poczuły woń mleka, opuściły natychmiast nieszczęsne swe ofiary i zaczołgały się do talerza, aby wypić ulubiony napój. Ale odważny lokaj uderzył największą z nich tak silnie szablą, że odciął od razu głowę od tułowia.

Teraz też oprzytomnieli nareszcie panowie, a oficerowie, wstydząc się swego tchórzostwa, rzucili się z dobytemi szablami na resztę strasznych wrogów.

I nie trwało długo a wszystkie żmije leżały zabite na posadzce.

— Marcillos wziął teraz córkę i zaniósł ją do przyległego pokoju na kanapę.

— Ach ojcze — jękła Carmen — pozwól mi umrzeć obok Włodzimierza!

Na skinienie bankiera przyniesiono tu także umierającego narzeczonego, a przywołany tymczasem lekarz świadczył, że ani dla niego ani dla Carmeny ratunku już nie ma.

— Doktorze — krzyczał bankier z rozpaczą, — dam ci połowę mego majątku, dam ci wszystko, co mam, ale ratuj mi moje dziecko jedyne!

— Tam w niebie — rzekł — mieszka doktór, który tam rozporządza życiem i śmiercią ludzi!

Włodzimirz był już blizkim śmierci, Carmen miała jeszcze nieco przytomności.

— Zimno mi, — szeptał młodzieniec, — zimno — umieram —

— Nie umrzesz sam, — zawołała Carmen, — nie pójdziesz sam w tę ostatnią podróż, ja ci będę towarzyszyć. Nie lękaj się, nie opuszcze cię ani na chwilę!

— Zimno — jąkał Włodzimirz zupełnie już nieprzytomny — zdejmijcie ze mnie tę ciężką bryłę lodu — czemu tak na mnie dziwnie patrzysz, Aleksandro? Ach, tam czarny dom, a w nim — śmierć!

Ostatnim wysiłkiem pochyliła się Carmen nad umierającym i pocałowała blade jego usta. Czuła ona, że i jej krew przestaje krążyć w żyłach, i że ostatnia chwila się zbliża.

Marcillos leżał na ziemi i rwał włosy z głowy.

— Boże! — jęczał z rozpaczą — jak okropnie ukarałeś moją chciwość! Czemu chciałem mieć jeszcze więcej bogactwa, czemu wyciągałem ręce po miljony i tytuły! Zamiast szczęścia, wprowadziłem śmierć do mego domu, śmierć dla mego jedynego dziecka! Ach, korona polska przygniotła mnie swoim ciężarem! Bondi pomścił się strasznie!

— Ojcze — szepnęła Carmen, — muszę cię pożegnać! Bądź zdrów, kochany ojcze!

Wszyscy obecni upadli na kolana, wszyscy gorącemi płakali łzami.

Włodzimirz już nie żył.

Carmen przytuliła się do niego i zwolna zaczęła tracić przytomność.

— Zimno mi — szeptała, — dziś — zaręczyny — Włodzimirz! —

Potem jeszcze cichy jęk bólu.

I ciemna jej główka osunęła się bezwładnie na ramie narzeczonego.

Carmen umarła!

A nieszczęśliwy ojciec tarzał się na ziemi, krzycząc z rozpaczy i uderzając głową o posadzkę, goście zaś przerażeni i oniemieli opuszczali tłumnie ten dom śmierci.

ROZDZIAŁ LXVII.

W karczmie pod „trzema różami.“

Pani Róża tymczasem przybyła szczęśliwie do karczmy pod „trzema różami“ i przywitała serdecznie swoją przyjaciółkę, żonę karczmarza.

Równocześnie znajdował się tutaj Henryk Orszański, goniący złodzieja korony.

Wiedział on, że tylko Bondi mógł być owym złodziejem i domyślał się słusznie, że pojedzie on najpierw do Warszawy, aby tam zdobycz swoją spieniężyć.

Zatrzymał się więc teraz w tej karczmie, aby zmienić swoją powierzchowność i pod inną zupełnie postacią ścigać przebiegłego złodzieja.

Przybył on tu z Leonem w nocy, a rozespany sługa karczmarza wskazał mu dwa pokoje na górze i komorę dla służącego i wrócił czemprędzej do ciepłego łóżka.

Nazajutrz zapytał karczmarz chłopaka, kto są ci goście, którzy przyjechali w nocy.

—Jest to jakiś pan i jego służący — brzmiała odpowiedź chłopaka, — obydwaj porządnie ubrani — mają też dużo tłumoków — karetę bardzo piękną i dobre, rosłe konie!

— Jak się nazywają?

— Nie pytałem o to!

— Zkąd jadą i czem są?

— Nic mi o tem nie mówili!

— Głupiś, — zawołał Barkan, tak się zwał karczmarz. — Widzę, że będę musiał sam wstawać w nocy i przyjmować gości. Gdyby od ciebie samego zależało, wpuszczałbyś do domu złodzieji i rozbójników! Chociażby dowódzca opryszków tatrzańskich do nas zajechał, to ofiarowałbyś mu uprzejmie najlepszy pokój.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i Henryk wszedł do pokoju.

Był on teraz ubrany w surdut jasny kraciasty, a nieco rudawe włosy i faworyty, oraz znudzony wyraz twarzy zdradzały na pierwszy rzut oka rodowitego Anglika!

Nikt w świecie nie byłby w nim poznał Henryka Orszańskiego!

Karczmarz zbliżył się do niego z nizkim ukłonem.

— Spodziewam się, — rzekł pokornie, — że wielmożny pan kontent z pokoi. Gdybym był wiedział, że tak dostojny gość wstępuje w progi mego domu, byłbym sam miał honor przyjąć go, tymczasem — jednak — myślę —

— Allright, — odpowiedział Henryk niedbale, — wszystko w porządku! Pokoje podobają mi się — piękny z nich widok na lasy!

Henryk mówił po niemiecku, którym to językiem dosyć dużo wówczas w Polsce mówiono, i poszedłszy do okna, wyjął z kieszeni lunetę i zaczął uważnie przypatrywać się okolicy.

Karczmarz wziął teraz grubą księgę ze stołu, otworzył ją, i kłaniając się znowu nizko, przyszedł do Anglika.

— Wybacz, wielmożny panie, — rzekł, — ale policya żąda, aby każdy przyjezdny zapisał swe nazwisko, godność i miejsce, z którego przybywa. Inaczej musi każdy opuszczać gospodę w przeciągu trzech godzin!

— Allright, rozumiem! Zapiszcie więc: jestem lord Nobody z Londynu i podróżuję dla przyjemności i wypoczynku. Mój służący nazywa się Fox.

— Bardzo dobrze, — zawołał karczmarz, — lord Nobody i służący Fox! Dziękuję wielmożnemu panu!

Po napisaniu nazwisk wbiegł Barkan do przyległego pokoju, w którym znajdowała się żona jego z panią Różą, i zacierając ręce, zawołał radośnie:

— Wielki honor dla naszego domu! Zajechał tu prawdziwy lord angielski, lord Nobody z służącym Foxem! Podróżuje dla przyjemności! Chciałbym, aby mu się tu tak podobało, żeby został co najmniej cztery tygodnie!

— Zapewne, — odrzekła jego żona. — Anglicy zawsze mają dużo pieniędzy i pożądanymi są gośćmi! Ale słuchaj — dajmy teraz pokój interesom — jest tu coś ważniejszego i lepszego.....

— Słucham, słucham! I o cóż to chodzi?

— Nasza kochana Róża zaręczyła się!

— Zaręczyła się! No, to winszuję z całego serca! I z kim?

— Z pewnym młodym artystą rzeźbiarzem, Piotrem Brańskim. Przyjedzie on tu także — bo chodzi tam o dziwną bardzo historyą.....

— No, no, — szepnął Barkan, — byleby nie coś złego.....

— Broń Boże! — zawołała Róża, biorąc jego rękę. — Ale pan musisz nam pomódz, musisz narzeczonemu memu wielką wyświadczyć przysługę!

Barkan, skąpy niezmiernie, zadrżał, myśląc, że chodzi tu o pożyczkę, ale pomimo to odrzekł:

— Jeżeli mogę — przysługę — to jest — z największą przyjemnością!

— Wiesz pan zatem, że narzeczony mój jest artystą! Ach, gdy go pan poznasz, będziesz nim zachwycony! Taki on wytworny, że każdemu musi się podobać!

— Ale jeżeli on tylko pilnym jest i uczciwym, — wtrącił Barkan, — to najważniejsze!

— Naturalnie! A jaki uzdolniony! Jest to artysta z łaski Bożej! Że zaś jest uczciwym, to dam panu zaraz

najlepszy tego dowód ... powierzył ... ni największy swój skarb!

— Pieniądze?

— Ach, tacy to ... jesteście mężczyźni! Myślicie zawsze tylko o pieniądzach ... pani Barkan niechętnie, — nie, artysta ten dał Róży o wiele większy skarb! Powierzył jej skrzynkę, w której się znajduje największe jego arcydzieło marmurowe!

— Popiersie jednej księżnej — dokończyła Róża, — i to właśnie tyle na niego sprowadziło prześladowania i przykrości! Dla tego to przybyłam do was! Musicie nam dopomódz do ucieczki — musimy jechać do Wiednia, tam jest mój narzeczony bezpieczny. Tam wystawi swoje dzieło i tam — dodała, spuszczając oczy, — zostanę jego żoną!

W tejże chwili zapukał ktoś do okna.

Róża zerwała się z głośnym okrzykiem — za oknem bowiem stał Bondi, jej narzeczony!

Trzymał on cugle konia, a twarz jego strasznie była blada.

— Otóż i on, — zawołała uszczęśliwiona, — teraz niech już sam z panem o wszystkiem pomówi! Wiem, że jego prośbom nikt się nie oprze!

Zaraz też pobiegła po narzeczonego i rzeczywiście Bondi zachwycił tak karczmarza jak i jego żonę. Umiał on doskonale odgrywać każdą rolę, i gdy chciał, potrafił sobie ujmować ludzi swoją uprzejmością i wesołością.

Pani Barkan zapewniała uroczyście Różę, że zazdrości jej takiego narzeczonego, a mąż jej wierzył tak w każde słowo zręcznego łotra, że byłby w ogień za niego poszedł. Wszyscy byli przekonani, że w skrzynce znajduje się marmurowe popiersie księżnej.

— Więc pan doprawdy musisz uciekać, — mówił Barkan z głębokiem współczuciem. — I ten rosyjski książe ciągle pana ściga i prześladuje?

— Tak, ciągle — odrzekł Bondi, — ale potęga jego istnieje tylko w Rosyi. Wczoraj — dodał zwracając się do Róży — był, jak wiesz, jeden szpieg w twoim domu, a w ciągu dnia stało trzech na ulicy Jestem pewien, że oni mnie już tu nawet wyśledzili!

— Boże wielki! — krzyknęła Róża załamując ręce, — w takim razie jesteśmy zgubieni! Ale niech się dzieje co chce, ja ciebie nie opuszczę!

Biedna kobieta! Pokochała ona z całego serca nędznego uwodziciela, nie przeczuwając, jak smutny los ją czeka.

Była ona wcale nie złą istotą, miała dobre serce i bardzo była łagodną — największym jej błędem była próżność i zalotność i to też stało się jej zgubą.

Drżała ona o życie i wolność ukochanego i każdy inny mężczyzna czuł by się wzruszonym tą serdeczną troskliwością. Ale Bondi śmiał się z niej w duszy.

Jeżeli mówił, że nieprzyjaciele ścigają go, to nie miał wcale na myśli tych, których tak haniebnie okradł, zabierając jedyny, pozostały im klejnot narodowy, ale obawiał się, że Marcillos będzie chciał się zemścić na nim za śmierć swej córki i przyszłego zięcia. Wiedział, że bankier poruszy niebo i ziemię, aby dojść do celu.

Spowodował on też śmierć członka jednej z najwybitniejszych rodzin rosyjskich, i z tej strony groziło mu także niebezpieczeństwo.

— Książę Konstanty nigdy mi tego nie wybaczy, — myślał, — trzeba jaknajspieszniej uciekać do Wiednia.

Chodziło mu więc przedewszystkiem o to, aby dostać powóz i konie.

— Zmiłuj się pan, — rzekł do Barkana, — wystaraj mi się o jaką karetę podróżną i parę silnych koni!

— Cóż robić, — odpowiedział karczmarz wzdychając, — będę musiał dać moje konie! Ale teraz jeszcze jedno! Jesteś pan zapewne bardzo zmęczony! Zamkniemy drzwi na klucz, aby nikt pana nie napadł niespodziewanie — a potem przyniosę śniadanie. Zgoda?

— Owszem, proszę pana! Gdzie jest mój koń?

— Kazałem go zaprowadzić do stajni.

— Dobrze, dziękuję panu!

Karczmarz wyszedł zostawiając barona w towarzystwie swej żony i pani Róży. Jedna i druga patrzały na niego z prawdziwem uwielbieniem.

Niedługo potem przyniesiono sute śniadanie i Bondi zabrał się do jedzenia z wielkim apetytem.

— A teraz musimy się nad wszystkiem dokładnie naradzić, — rzekł karczmarz, gdy Bondi odsunął talerze. — Ale rozmawiajmy po cichu, bo w przyległym pokoju ... dzi nasz Anglik. Umie on wprawdzie tylko po ang... i po niemiecku, może jednak rozumie i po polsku tro... po co on ma słyszeć......

— Jaki Anglik? — przerwał Bondi marszcząc czoło.

— Jedyny gość, jaki się obecnie w moim domu znajduje. Przybył on dziś w nocy z swoim służącym!

— Z Warszawy?

— Nie, z przeciwnej strony! Ach, przecież pan nie przypuszcza, aby to był szpieg owego księcia?

Nie, o to możesz pan być spokojny, jest to prawdziwy lord angielski! Jeżeli on nie jest Anglikiem, to ja jestem kapitanem opryszków tatrzańskich, którego władze tak pilnie szukają!

Na wspomnienie rozbójników zbladł Bondi jak śmierć ale wnet otrząsnął się z przykrych myśli.

— Damy więc pokój Anglikowi, — rzekł gospodarz po chwili, — i radźmy nad ucieczką pana! Uczynię wszystko, co mogę. Narzeczona pana jest przyjaciółką mej żony, a pan wydajesz mi się dobrym i uczciwym człowiekiem. Takiego należy wspierać. Czego więc żądasz odemnie?

— Róża powiedziała panu zapewne, że zamierzam udać się do Wiednia, bo tam tylko jestem bezpiecznym. Aby zaś tam stanąć, potrzebuję powozu i pary silnych, wytrzymałych koni. Mój wierzchowiec bardzo jest zmęczony i wieśniak, który mi go sprzedał, oszukał mnie, koń bowiem ma jednę nogę słabą, tak, że nie byłbym mógł dalej, jak tu dotąd na nim zajechać.

— Parę silnych koni, — zawołał karczmarz, — widzę jednak, że moje zawiozłyby pana do Wiednia. Dałbym je chętnie, ale to stare, słabe szkapy!

— A w sąsiedztwie, nie ma jakich innych?

— Nie, bo teraz wszędzie pracują ludzie w polu, orzą, sieją i potrzebują koni A chociażby konie kto dał, to nikt tu nie ma takich, jakich pan potrzebuje!

— Co u licha! Więc ucieczka nasza staje się niemożliwą! — zawołał Bondi, marszcząc czoło.

— A jednak musimy ztąd jak najprędzej wyjechać, — rzekła Róża stanowczo. — Niech kosztuje co chce, w przeciągu dwóch godzin opuścimy ten dom!

— W mojej stajni są dwa piękne konie, ale nie są one moją własnością, — szepnął Barkan. — Gdyby pan miał takie, ba, to jechałbyś jak wicher!

— Czyje to są konie? — zapytał Bondi, patrząc uważnie na karczmarza. Chciał on go wybadać, jak daleko zajść może, aż do jakich granic łotrostwa może go pociągnąć!

— Anglika, — odrzekł gospodarz. — Oprócz tego ma on ładny, lekki powóz, ale cóż to wszystko pomoże! Nie jest to ani moją, ani pana własnością!

Bondi zamyślił się na chwilę.

— Możeby mi ten Anglik sprzedał konie i powóz, — zawołał nagle.

— Ach, co pan myślisz! Taki lord nie handluje swemi rzeczami, a zresztą on sam chce jechać dalej.

— Ale zapewne tylko do Warszawy, a tam może kupić tyle koni i powozów, ile chce! W najgorszym razie mógłby wziąść mego konia aż do Warszawy!"

— Niech się pan z nim rozmówi, — rzekł karczmarz, — może da się to zrobić, chociaż ja wątpię!

— Pójdę zaraz do niego, — zawołał Bondi, biegnąc ku drzwiom, ale nagle stanął.

— Tak, — szepnął, — rozmówię się z nim, lepiej jednak będzie, jeżeli nie ukażę mu się pod moją własną postacią! Gdybym mógł się przebrać......

— Ach, o to mniejsze, — rzekła pani Barkan, — zaradzimy temu, powiedz pan tylko, za kogo chciałbyś się pan przebrać?

— Za byle kogo! Byleby mnie nie poznano, bo nie dowierzam nikomu i muszę się wpierw przekonać, czy ów Anglik jednak nie jest szpiegiem księcia! Ale prawda, gdzie jest skrzynka z popiersiem?

— Doskonale ukryta, — odrzekła Róża z uśmiechem, — lepiej i ty byś jej nie ukrył! Gdy tu przybyłam, powiedziałam mej przyjaciółce, o co chodzi, i postanowiłyśmy włożyć skrzynkę pod koryta koni. Tam jej nikt szukać nie będzie, a postawiłyśmy ją tak, że konie jej kopytami rozbić nie mogą. Lepszego schowania nie można sobie życzyć.

— To dobrze! A teraz — jak się mam ubrać, aby iść do lorda? Bo konie jego mieć muszę!

— Ah, ja już wiem, — zawołała pani Barkan. — Idź rędzej, — zwróciła się do męża, — do komory, i przyzeczy starego żyda, który tu umarł przed dwoma laty. st tam jeszcze jego peruka — i czapka! Dalej, dalej, zaienimy naszego wielkiego artystę w starego żyda!

— Wybornie, — rzekł Bondi, — w takiem przebraniu e pozna mnie żaden szpieg!

Kilka minut później było wszystko gotowe i Bondi wyądał rzeczywiście, jak prawdziwy stary żyd.

Karczmarz przylepił mu jakąś fałszywą brodę, którą ał sam na maskowym balu, a pani Róża aż załamała ręce gdy na niego spojrzała.

— Jakiś ty brzydki! — zawołała, cofając się mimowoli.

— Ale nie na długo, — odrzekł Bondi. — Za kwadrans zrzucę z siebie to obrzydliwe ubranie, mam nadzieję, że załatwienie sprawy z Anglikiem długo trwać nie będzie!

— Spiesz się pan, — szepnął karczmarz, podsłuchując pod drzwiami, — zdaje mi się, że nasz lord zamierza wyjść na przechadzkę!

— Idę już!

W gościnnej izbie tymczasem rozmawiał Henryk po cichu z swoim służącym. Zakazał on mu wszelkiej styczności z karczmarzem obawiając się, że Leon zdradzi ich narodowość. Wszakże prosty góral nie znał obcych języków. Leon wykonywał sumiennie każdy rozkaz swego pana, i gdy chłopak posługujący w karczmie przyniósł mu śniadanie i zapytał go o coś, odwrócił się Leon w milczeniu, mierząc chłopca dumnem i pogardliwem spojrzeniem.

— Głupi Anglik, — opowiadał chłopak oburzony w kuchni, myśli, że my nie jesteśmy ludźmi. Ale ma on też piękne ubranie, pełne kieszenie pieniędzy, jeździ po świecie ze swoim panem i nic nie robi! A my musimy pracować od rana do wieczora i nic za to nie mamy!

Henryk skinął na Leona.

— Słuchaj, — szepnął, — za kilka godzin wyjedziemy stąd, uporządkuj powóz i zajrzyj do koni.

— Wszystko to już zrobione, — odrzekł Leon.

— A przekonałeś się, czy tego łotra Bondiego nie ma u w karczmie? Obejrzałeś się wszędzie? Są jeszcze inni goście tutaj?

— Nie, przed pół godziną przybył tu jakiś jeździec — nie widziałem go — ale koń jego lichy stoi w stajni obok naszych. Zdaje mi się, że ten pan jest krewny karczmarza!

— Wyjdę teraz na przechadzkę i wrócę za pół godziny, potem zjemy śniadanie i pojedziemy zaraz dalej do Warszawy. Przygotuj powóz i konie!

Leon otworzył drzwi i odskoczył przestraszony, przed nim bowiem stał żyd, stary, zgarbiony, z tłumokiem na plecach.

— Precz! — krzyknął Leon łamaną polszczyzną, — tu nie ma nic na sprzedaż!

— Czy ja mówiłem, że chcę kupować? — odrzekł żyd pokornie. — Ja jestem uczciwy człowiek, każdy mnie zna i pan karczmarz poświadczy to panu...

— Czego tu chcecie? — Widzicie przecież, że w izbie znajduje się tylko mój pan, a z tym nie macie wy nic do czynienia. Wynoście się natychmiast!

— Mam ja właśnie do niego interes, — zawołał Bondi najczystszym żydowskim dyalektem. — Przyszedłem umyślnie do pana lorda, aby od niego coś kupić!

— Odemnie? — zapytał Henryk. — Czego wy chcecie odemnie?

Na dźwięk tego głosu zadrżał Bondi.

Nie poznał on jeszcze Henryka, ale powiedział sobie odrazu, że głos ten zna doskonale — że ma on straszne dla niego wspomnienie...

— I nietylko z ostatnich dni — nie, musiał on głos ten znać już dawniej, o wiele dawniej...

— Boże Wielki, wszakże to głos kapitana rozbójników! Tego, który kazał Horna tak okrutnie zabić...

Nie, to być nie może! Bondi wmówił w siebie, że się zmylił, i zbliżając się nieco bliżej, rzekł uniżenie:

— Wielmożny pan lord ma tam w stajni parę ładnych koników — dobrych, żwawych, ale...

— Co wam do moich koni! — krzyknął Henryk rozgniewany. — Nie przypuszczałem, aby tam pierwszy lepszy włóczęga mógł zaglądać, inaczej byłbym żądał klucza od stajni!

— Ny, czemu ja wejść nie mogę do stajni? Toż ja tu wszędzie chodzę po całym domu, ja tu przecie jak u siebie! Wielmożny pan lord wie, co znaczy żyd domowy! Każdy pan u nas, każdy kupiec ma swoich żydków, oni wszystko za niego załatwiają — interesy, sprzedaże, kupna, a on tylko płaci! Pan karczmarz Barkan, niech on żyje sto lat — on ma też żydka, to jest mnie! Ja wszystko tanio kupuje w Warszawie i przynoszę mu, a on bardzo kontent ze mnie!

W tej chwili powziął Henryk myśl, bardzo niekorzystną i zgubną!

Jeżeli ten żyd jeździ ciągle do Warszawy, to musi spotykać wszystkich tych którzy tą drogą jadą! Żydzi zaś mają bystre oko i patrzą uważnie na obcych, już dla tego samego, czy nie można czegoś na nich zarobić!

Ów żyd więc musiał spotkać Bondiego, jeżeli tenże udał się do Warszawy.

I Henryk wyjął z kieszeni dukata i położył go na stole.

— Dam wam to, — rzekł, — jeżeli mi powiecie, o co zapytam! Wszakże widujecie każdego, jadącego powozem lub konno, lub idącego pieszo, do Warszawy?

— Czemu ja nie mam widzieć? Mam dzięki Bogu, dobre oczy — widzę więc każdego i rozmawiam z każdym! Czasem można coś zarobić!

— A zatem powiedźcie mi — nie widzieliście tu w ostatnich kilku dniach pewnego pana, wysokiego, chudego, o rudych włosach i skrzywionym troche nosie?

Bondi o mało nie krzyknął.

Wszakże Anglik o nim mówił!

I teraz nie wątpił już ani na chwilę, że całe ubranie Anglika było fałszywem, i że to nie był nikt inny jak — kapitan rozbójników!

Zimny dreszcz przebiegł członki nędznika.

Cudem prawie wyrwał się z rąk tego okropnego człowieka, i teraz stoi tu naprzeciw niego — — —

Dosyć trwało długo, zanim Bondi zdobył się na odpowiedź.

— No i cóż? — zawołał Anglik. — Widzieliście takiego mężczyznę?

— Nie, wielmożny panie lordzie! Przysięgam, że nie widziałem! Nie musiał on iść tą drogą!

— Ach, więc nie? Ale teraz powiedz mi, czego chciałeś odemnie?

Henryk wielkiego doznał rozczarowania. Był on jak najmocniej przekonany, że Bondi udał się z swoją zdobyczą do Warszawy, tymczasem domysły jego okazały się fałszywemi. Nie wątpił bowiem ani na chwilę, że żyd ów byłby barona spotkał. Ach, gdyby był przeczuwał, kto przed nim stoi!

— Więc czego chciałeś odemnie? — powtórzył niecierpliwie. — Służący mój wspominał o jakimś interesie, ale ja zgóry powiadam, że z wami nic nie chcę mieć do czynienia

Bondi uspokoił się już troche.

— Nie wiedziałem, — rzekł pokornie, — że wielmożny pan lord taki dumny! Chciałem od pana lorda odkupić piękne konie w stajni!

— Moje konie? krzyknął Henryk. — Czyś zwarjował żydzie?

— Zwarjował? Tak i nie! Czemu mam zwarjować, jeżeli chcę zapłacić towar gotówką? Wielmożny pan lord zmarnował konie w dalekiej podróży, — a w Warszawie można kupić inne, młode, piękne! Bo takich koni jak polskie nie ma na całym świecie! Biegną one dzień i noc bez wytchnienia, a są mocne, jak słonie i wytrwałe jak wielbłą[illegible] Myślę więc, że wielmożny pan lord sprzeda stare a[illegible] we konie! Zapłacę gotówką, ile pan lord żąd[illegible]

Mówiąc to wydobył Bondi pugil[illegible] knotami.

Były to pieniądze biedn[illegible] cią cały swój majątek!

Ale Henryk rozgniew[illegible]

— Bierz twoje pien[illegible] ja koni sprzedawać nie[illegible]

— Czemu nie? [illegible]

— Bo wyjeżd[illegible]

— W pogoń[illegible] dasz ty mi twoje[illegible]

[illegible]mo za[illegible]

[illegible]

baczy[illegible] intere[illegible]

— Wynoś się, — krzyknął Henryk.

— Może wielmożny pan lord chciałby pieniądze zmienić...

— Leonie!

Leon wbiegł do pokoju i na znak Henryka wyrzucił żyda za drzwi.

— Żegnam wielmożnego pana lorda, — wołał Bondi, leżąc już na schodach, — dziękuję za łaskawe przyjęcie!

Ale zaledwie drzwi się za nim zamknęły, zerwał się jak szalony i podniósł groźnie ściśniętą pięść do góry. Oczy jego złowrogim pałały blaskiem.

— Poczekaj, — szepnął, — poznasz mnie teraz dopiero! Ostatnia twoja godzina nadeszła, okrutny rozbójniku!

W następnej chwili wpadł do pokoju, w którym siedział karczmarz z żoną i Różą i dawał im znaki ręką, aby do niego przyszli.

— Masz konie? — szepnęła Róża.

— Cicho, cicho, — odrzekł, — pójdźcie tu — mam coś ważniejszego do powiedzenia — cicho, aby nas nikt tam nie usłyszał — słuchajcie!

— Mój Boże, co się znowu stało! — zawołała Róża przestraszona. — Przecież ucieczce naszej nic nie stanęło na przeszkodzie?

— Nie, nie! Ale wiecie, że ten lord nie jest ani lordem ani Anglikiem; Służący jego też nie jest Anglikiem!

Ach, jaki jestem wzruszony! Ledwie mówić mogę! Słuchajcie, każda chwila jest drogą!

— Co się tam dzieje, — spytał Barkan zaniepokojony. — Czy mi rachunku nie zapłacą...

— Nietylko, — odrzekł Bondi, — otrzymasz te zapłatę, ale nadto dadzą ci jeszcze pięć tysięcy rubli! Możesz je pan łatwo zarobić, jeżeli usłuchasz mej rady!

— Uczynię wszystko, co mi pan rozkaże! Pięć tysięcy rubli! Gdybym nie wiedział, że pan na śniadanie wypiłeś jeden tylko kieliszek wina, to myślałbym, że.....

— Że jestem pijany! Ale ja na szczęście zupełnie jestem trzeźwy! Słuchaj pan, przyjąłeś dziś do twego domu wielkiego zbrodniarza!

Barkan skamieniał. Rosyjskie prawa bardzo pod tym względem były surowe, i jeżeli artysta prawdę mówił, to mogły go spotkać wielkie nieprzyjemności.

— Zbrodniarz, — wyjąkał, — to być nie może!

— A jednak tak jest! Zbrodniarza tego szukają władze jak śpilki, bo to największy złoczyńca, jakiego świat widział. Ma on tyle morderstw na sumieniu, ile pan masz włosów na głowie, a za schwytanie go wyznaczył rząd rosyjski pięć tysięcy rubli. I te pieniądze możesz pan dziś zarobić!

Barkan ledwie nie podskoczył z radości.

Tyle pieniędzy już dawno nie widział, i nie myślał o nich nawet w najśmielszych swoich marzeniach!

— Pięć tysięcy rubli, — szepnął, — ach panie, jeżeli to prawda, to błogosławiłbym chwilę, w której zbrodniarz ten wszedł do mego domu. Ale ja nie wierzę — nie wierzę.

— Słuchaj pan! Słyszałeś już kiedy coś o rozbójnikach tatrzańskich?

I Bondi uśmiechnął się szatańsko.

— Jezus, Marja, Józef święty! — krzyknęła karczmarka, — pan go pytasz, czy słyszeliśmy o rozbójnikach tatrzańskich! Każde dziecko słyszało o nich, w każdym ... drżą ludzie ze strachu przed nimi, a wiele osób modli ...ać: — chroń nas Boże od wszelkiego złego i od ...ców!

...lił się Bondi jeszcze niżej i szepnął: ...ników znajduje się obecnie

...imowoli, a mąż jej stał z ot... ...ówić ani słowa.

...di dalej, — jest tym ka... ...przysięgać na wszy... ...z polskim akcentem, ...wydawał jakiś roz... ...czy słyszeliście go ...n przy...am, że ...ednym.

— Ach panie.....

— Jeżeli posłuchacie mej rady, to zarobicie te ... tysięcy rubli tak pewno, jak że się Bon-Brański nazyw... i moją Różę kocham! — rzekł Bondi, biorąc rękę narz...nej, która patrzała na niego w niemym zachwycie.

— Musimy uwięzić obydwóch tych zbójców, — zawo...ał teraz karczmarz energicznie. Nie możemy ich żywcem wypuszczać z rąk naszych! Codziennie tyle pieniędzy zaro...bić nie mogę! Pięć tysięcy rubli! Chciałbym codzienni... mieć takiego gościa!

— Nie pleć pan niedorzeczności, — zawołał Bondi. Czy myślisz, że dasz sobie tak łatwo radę z tym opryszkiem?

— Naturalnie! Wsiądę na konia i pojadę do najbliższej wsi po żandarma!

— Po żandarma! — powtórzył Bondi pogardliwie. — I pan sądzisz, że opryszek ten pozwoli się związać żandarmowi! Zastrzeli on nas wszystkich, pana, mnie......

— Boże! Nie mów takich okropnych rzeczy, — jękła Róża.

— Człowiek ten nie ulęknie się niczego, — mówił Bondi z głębokim przekonaniem,—zabić człowieka to dla niego drobnostka! Życie ludzkie żadnej u niego nie ma wartości. Trzeba nam obmyśleć coś innego!"

— Ale co? Radź pan! Uczynimy wszystko, co każesz, bylebyśmy mieli owe pięć tysięcy rubli!

— Ach, mnie już o pieniądze nie chodzi, — wtrąciła karczmarka, — ale sumienie samo każe uwięzić takiego złoczyńcę! Wyrządzimy przysługę całej ludzkości!

— Najpierw trzeba go zwabić podstępem w jakie bezpieczne miejsce, w którem mógłby pozostać przynajmniej pół dnia.

— Tak, ale czy takie miejsce znajduje się w moim domu? On może drzwi wyłamać!

— Tu w domu trzymać go nie można, — odrzekł Bondi, — albowiem służący zaraz by go uwolnił. Nie możecie go zwabić w takie miejsce, o którem by służący nic nie wiedział? Tymczasem pojechałbyś pan po żandarmów, ale musi ich przynajmniej być dwudziestu! Wtedy dopiero można ująć zbójcę i wtedy też otrzymacie owe pieniądze!

Barkan zamyślił się.

— Wiem już, wiem już, — zawołał po chwili, — mam, czego nam potrzeba! Powiem panu, jak to urządzę, ale po cichu, aby ten zbrodniarz nie słyszał.....

I szepnął baronowi kilka słów do ucha.

— Doskonale! — zawołał Bondi, — to jest pewne zamknięcie, ale spiesz się pan, i bądź ostrożnym, bo rozbójnik ten jest podejrzliwy i gdyby się czegoś domyślał, zamordowałby cię bez miłosierdzia!

— Oho, ja dam sobie radę! — roześmiał się Barkan. — Za pięć tysięcy rubli zrobię wszystko!

— Więc dalej do dzieła, — rzekł Bondi. — Spiesz się pan — szczęście czeka dziś na ciebie!

— Przynieś mi, — zwrócił się karczmarz do żony, — klucz od sklepu! Od sklepu w skale!

— Czemu? Nie mamy tam nic.....

— Przynieś klucz, mówię ci! Że też te kobiety wiecznie pytać muszą! Teraz nie mam czasu do wyjaśniania ci tego, lub owego! Spytaj jeszcze dla czego dziadek urządził sklep wina w skałach i zamknął go drzwiami, którychby dziesięciu mężczyzn wyłamać nie potrafiło!

Posłuszna żona wybiegła natychmiast i wróciła z dużym staroświeckim kluczem.

Berkan wziął go, wsunął do kieszeni i szepnął:

— Zachowajcie się teraz zupełnie cicho! Ja pójdę do naszego Anglika — i nie dziwcie się, że wyjdę z nim!

I zaraz potem wszedł karczmarz do pokoju, w którym się Henryk znajdował sam.

Oparty o okno namyślał się Henryk, czy jechać do Warszawy, czy też gdzie indziej szukać złodzieja. Ale gdzie! Gdzie ukrył Bondi ów drogocenny klejnot?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Humorystyka.

Strofy grudniowe.

I.

Weź fujarkę chłopcze młody,
Pędź do lasu i nad wody,
A jeśli cię szczęście minie,
Gdy spudłujesz przy zwierzynie,
To się odbij przy dziewczynie,
Po adwencie odpraw gody.

II.

Powracają już myśliwi
Z pośród kniej —
Więc gosposiu, figlareczko,
Wina lej!
Gdy masz ząbki, jak perełki,
To się śmiej!
A gdy serce masz ogniste
Kochać chciej!

Dokładne polecenie.

— Janowo, uważajcie co mówię: przyniesiecie mi funt siarki, ćwierć funta fosforu i kawałek miękkiego drzewa; albo... gdyby mieli w sklepiku gotowe zapałki, to jedną paczkę za 10 fenygów.

Bardzo proste.

— Słuchaj, Heleno, zamówiłem dziś kosz szampana na nasze srebrne wesele, które obchodzić będziemy w przyszłym miesiącu.

— A jeśli jedno z nas tymczasem umrze?

— No, to wypiją wino przy innej sposobności.

Oświadczyny prawnika.

— Szanowna pani, od pewnego czasu zauważyłem, że ukradziono mi serce. Pierwsze moje podejrzenie, które padło na panią, sprawdziło się. Nie będę zatem dłużej zwlekał i wzywam panią przed urząd stanu cywilnego.

Po powrocie z Afryki.

— A czy też pan doktór spotkał się w ciągu swej podróży z ludożercami?

— Naturalnie łaskawa pani; byłem już nawet raz umieszczony w jadłospisie!

Myśli o przyjaźni.

Dobrze jest mieć przyjaciela. Wówczas bowiem wiesz przynajmniej, kogo możesz rozgniewać własnym testamentem.

Należy jednemu przyjacielowi przyrzekać tylko to, czego się i drugiemu nie dotrzyma.

Oszczędni.

Oszczędność wielką jest cnotą,
Przynosi dużo korzyści,
Przynajmniej zdawna tak plotą
Przeróżni ekonomiści.
Lecz od nas o tej zalecie
Niewiele człowiek się dowie,
Słyniemy bowiem na świecie,
Jak marnotrawni synowie.
Dziś tylko żeśmy poznali,
Że zysk z tej cnoty się miewa
I wśród nas, blisko i w dali
Prąd oszczędności powiewa.

Pan *Iks* nie zaznał co *manco*,
Los mu dogodzić się stara,
Więc lubił dobre śniadanko
I palił wonne cygara.
Dziś i on kurczyć się musi,
Gdy jest zastoju czas brzydki,
Więc mówi do swej żonusi:
„Dwa pisma trzymać to zbytki...
Oszczędzać trzeba się, panie,
By dojść do grosza pomału:
„Praca" niech tylko zostanie,
A drugie — precz od kwartału."

Pani *Zetowa* w zwierciadle
Czas do południa przepędza,
Na węglu, nafcie i jadle
Od roku stale oszczędza.
Kochając cel ten serdeczny,
Rzekła raz sobie w zapale:
„Korepetytor zbyteczny,
Więc go od dzieci oddalę.
Bez tej pomocy me dziatki
I tak nie będą też głupie,
A z oszczędzonej tej gratki,
Na „gwiazdkę" sobie coś kupię."

Pan *Ygrek*, znany sąsiadom,
Którzy do winta mu służą,
Zwraca uwagę, by na dom
Nie wychodziło zbyt dużo.
O oszczędności rozprawia,
Że jest rozumu dowodem,
Żonie wszystkiego odmawia,
A dzieci morzyłby głodem.
W postanowieniach swych stały,
Odważnie kroczy tym torem,
A co oszczędzi dzień cały,
W winta przegrywa — wieczorem.

Ypsylon zdobyć grosz marzy,
Choć jest gdzieś w biurze kopist...
Niechce być członkiem wiośl...
Ani klubowym cyklist...
Przez zimę zdala od ludzi,
Tkwi w domu, jak kameduła,
Radość w nim wtedy się budzi,
Gdy groszy trochę uciuła.
Lecz krótko z pełną kieszenią
Na świat ten dumnie spoziera:
Grosz wiosną oraz jesienią
Totalizator zabiera.

„Oszczędność wielką jest cnotą
I zyski w łonie swem chowa" —
Jako papugi tak plotą
Ypsylon, Ygrek, Zetowa.
Ten prąd góruje nad światem
I w dusze ludzkie się wraża,
Oszczędza każdy więc na tem,
Co za zbyteczne uważa.
Tak doszlibyśmy do groszy,
Mnożąc dochodów swych zdroje,
Lecz oszczędności nam płoszy
Życie nad stan, wint i stroje.

Trudna sprawa.

— Kiedyż będę mógł mówić z panem pryncypałem?

— O, to bardzo trudna sprawa, bo przed 12-tą szef rzadko przychodzi do biura, a po 12-ej zaraz wychodzi...

Poezya i proza.

— Ocaliłeś mi życie, kochany doktorze, tego ci nigdy, nigdy nie zapomnę! O! ileż ci winna jestem!

— Za 22 wizyty, licząc za każdą po 10 marek, to będzie razem 220 marek.

W szkole.

— Powiedz mi, Józiu, jeżeli twoja mama np. schowała do szafy jednego dnia pięćdziesiąt jabłek i drugiego pięćdziesiąt, to na trzeci dzień, otwierając szafę, ile w niej jabłek znajdzie?

— Najwyżej osiemdziesiąt pięć, i to jeszcze wątpliwe...

— A to jakim sposobem?

— Takim sposobem, że ja, panie profesorze, ... i zjem z piętnaś...

Kalendarze Karola Miarki
na rok 1904.

Skarb domowy z 9-ma dodatkami w ozdobnej oprawie 1 markę
Maryański z 5-ma dodatkami rocznik 21-szy 60 fen.
Św. Rodzina z 4-ma dodatkami rocznik 6-ty 50 fen.
Katolicki z 3-ma dodatkami rocznik 8-my 25 fen.
Kartkowy na ślicznych ściankach, z zdaniami religijnemi, moralnemi i wypadkami historycznemi. 60 fen.

Przy zamówieniu pojedyńczego egzpl. proszę 10 fen. na porto dołączyć.
Za nadesłaniem 3 marek wyślę powyższe 5 kalendarzy franko.
Nabyć można we wszystkich księgarniach jako też wprost od wydawcy

K. Miarki w Mikołowie (Nicolai O-S.)

Przy zamówieniu większej ilości stosowny rabat.
Paczkę 8-kilową zawierającą: 2 Skarb domowy, 6 Maryański, 6 Św. Rodzina, 5 Katolicki, 2 kartkowe za nadesłaniem 7 marek franko.

Otworzyłem klinikę prywatną dla chorób 972
kobiecych i położnictwa,
połączoną z mojem mieszkaniem:
Berlińska 19 I
TELEFON 1030.
Dr. Łazarewicz
specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie.

Największa w Poznaniu
fabryka
powozów



ul. Wrocławska 15. Eleganckie landau,
poleca
karety, kocze, plauwagi, wozy do polowania, wolanty, parkowce i t. d. 914
A. Dzieciuchowicz.

...uzyczne

...gaju, klarnety, ...wiolonczele, ...bny ozdo... ...pozytywki, ...e i do us... ...w, pole... ...ska...

Nauczycielka

z pozwoleniem rej., **muzykalna,** poszukuje posady od 1 r. b. Łaskawe oferty pod lit. *N N. 500* do eksp. „Pracy“. 985

Sprzedawaczka potrzebna od 1 stycznia przyszłego roku do handlu towarów krótkich, bielizny etc. M. H. Moll, Koźmin (Koschmin). 656

Szafę żelazną

używaną w dobrym stanie kupi
Administracya „Pracy“.
Poznań, ul. Rycerska 38.

Handel stroi i bielizny
sposobność do samodzielności

daje dom obrotny, stary, od dawna renomowany w branży wstążek jedwabnych i artykułów służących do stroju w Berlinie szanowanym osobom z małym kapitałem, za wskazaniem dobrych miejsc w prowincyach Poznańskiej i Zach. pruskiej i otworzeniem odpowiedniego kredytu. Oferty uprasza się nadesłać po lit. P. N. 885 do eksp. „Pracy“ 885

Uczeń

z lepszem wykształceniem szkólnem znajdzie miejsce w mej destylacyi. 960
A. Szmytkowski
— Pinne.
...orów.

Najcenniejsze podarki gwiazdkowe
dla każdego polaka.

I.
Najnowsze — wydanie zupełne
Dzieł Adama Mickiewicza
w pięknej ozdobnej oprawie z złoconem pismem
4 tomy
Cena tylko 2 mk., z przesyłką 2,50 mk.

II.
Najnowsze — wydanie zupełne
Dzieł Juliusza Słowackiego
w tej samej ozdobnej oprawie jak poprzednie
6 tomów
Cena tylko 2,75 mk., z przesyłką 3,25 mk.

III.
Maryi Konopnickiej
Wybór pism.
Jubileuszowe wydanie ludowe — najnowsze
z ozdobną kolorową okładką
i pięknie wykonanym 963
portretem autorki
przeszło 300 stronnic druku.
Cena tylko 60 fen., z przesyłką 80 fen.

Wszystkie trzy dzieła razem tylko 4,50 mk, z przesyłką 5,00 mk.

Wysyłka odwrotną pocztą — tylko za poprzedniem nadesłaniem gotówki.

Marcin Biedermann,
Poznań.

Wiersze
okolicznościowe

na wszelkie uroczystości, mianowicie jubileusze, imieniny, zaślubiny itd. oraz ogłoszenia (reklamy) wierszowane dla pp. kupców i przemysłowców układam w pięknej i udatnej formie.

Zamówienia proszę nadsyłać pod znakiem: „Wierszokleta W. J. L.“ do eksp. „Pracy“.

Tanio na sprzedaż.
Kanapka i 2 fotele,
stół rozsuwany
gotowalnia,
pianino
zwierciadło, krzesełka, futerko damskie, płaszcz damski, kołnierz i mufka tumakowe
Bliższe szczegóły:
Półwiejska ul. 32. I p. na lewo.

Ogrodnik - ekspedyent

potrzebny do handlu nasion. Oferty H. H. 19 Thorn postlagernd pożądane. 928

Egzaminowana nauczycielka

do wyższych zakładów żeńskich udziela po przystępnych cenach lekcyi języków:
Polskiego, Niemieckiego, Francuskiego, Angielskiego, korepetycyi oraz muzyki tak dziewczętom jak chłopcom w domu i poza domem.

Bliższych wiadomości udzieli Red. „Pracy.“